Nr. 258. Lwów — Sobota dnia 11 Listopada. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi. Miesięczna zł. 1·50 Półroczna zł. 9 — Kwartalnie zł. 4·50 Roczna zł. 18. Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Prenumeratę należy przesyłać przekazem.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Marcina B. — Zenowia
Jutro: A. 25 po Świąt. — N. 24 do Sosz.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 9
Zachód „ „ 4 „ 20

Długość dnia g. 9 m. 11
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 10 listopada.

Z Wiednia nadchodzą złe wiadomości. Przedewszystkiem nie dają się wyrazić w składzie gabinetu sprzeczne dążności lewicy i obozu konserwatywnego. Kością niezgody jest ciągle teka spraw wewnętrznych. Na wniosek Hohenwarta, aby ją powierzono osobie obojętnej, niemającej ani wybitnej barwy konserwatywnej, ani wyraźnych znamion liberalizmu, np. margrabiemu Bacquehemowi — nie chce absolutnie przystać p. Plener. I otwarcie powiedzmy, że dziwić się mu nie można. Taki skład gabinetu, jaki wczoraj przedłożył na wspólnej konferencyi p. Hohenwart z p. Jaworskim, jest wprawdzie bardzo nam sympatyczny, ale koalicyjnym nie jest. Bo zasiada w nim czterech konserwatystów (Bobrzyński, Schönborn, Falkenhayn i Jaworski), jeden po nad stronnictwami (Windischgraetz) dwóch obojętnych (Bacquehem i Welsersheimb) i dwóch z lewicy (Plener i ktoś, kogo lewica zaproponuje do teki handlu). Owóż w takim gabinecie nie będzie widziała lewica wyrazu swoich zapatrywań, a nie widząc go, poświęci snadno swoich dwóch ministrów i przy pierwszej lepszej sposobności zbuntuje się. A że ona umie i lubi głosować nawet wspólnie z młodoczechami, że nie wstydzi się takiej wspólności, to widzieliśmy parę razy w ciągu ostatnich dwóch lat. Złożyć więc koalicyjny gabinet na to, aby za dwa tygodnie oświadczyła się przeciw niemu większość Izby, to lepiej nie składać, ale rokowania prowadzić dalej i starać się wyszukać taki klucz, którýby dawał każdemu stronnictwu odpowiedni wyraz w gabinecie.

Następnie z Koła polskiego nadchodzą złe wiadomości. Neurosteników mamy za dużo. Że parę niedowarzonych pisemek napisało, iż wybitni Polacy starają się o teki dla siebie, więc ci wybitni Polacy oświadczyli, że nie chcą brać tek i wolą wcale do gabinetu nie wstępować. „Mają nas podejrzywać o to, że nie dla kraju, ale dla siebie tylko pracujemy; mają nas wystawiać za „łowców" tek ministeryalnych, to wolimy usunąć się zupełnie" — rzekli niektórzy z nich. Owóż postąpili niesłusznie, neurostenicznie, a nie po męsku. Że są źli ludzie, którzy wszystkich podejrzywają, rzecz wiadoma. Że są paszkwilanci, którzy każdego błotem gotowi są obrzucić,— to także nie nowina. Ale któż na to zwraca uwagę? Któż w służbie kraju będąc, myśli o tem, co powiedzą nieszlachetni przeciwnicy? Jużcić przecie, że oni tem więcej będą wygadywali, im pożyteczniej się krajowi służy. Jak krzyczeli na Gołuchowskiego, albo jeszcze niedawno na Dunajewskiego! Czy była impertynencya, której tym mężom zaoszczędzono? A czy dzisiaj jest kto w kraju, ktoby się wahał przed temi dwoma nazwiskami skłonić głowę!

Więc nie powinni się cofać nasi przewódzcy, lecz brać teki, brać koniecznie, bo źle będzie z nami, jeżeli nie będziemy mieli odpowiedniej reprezentacyi w gabinecie koalicyjnym, gdzie nietylko nasi ministrowie będą potrzebni dla bronienia interesów kraju, ale nadto gdzie będą mogli grać rolę pośredników między lewicą a Hohenwartczykami.

Ewentualne zaś rozbicie układów w sprawie utworzenia gabinetu koalicyjnego jest dla nas bardzo niebezpiecznem. Wprawdzie można na razie sytuacyę uratować przez zatrzymanie hr. Taaffego u steru; — i nawet koniecznem byłoby wtedy dołożyć wszelkich usiłowań, aby hr. Taaffego zatrzymać. Ale cóż potem? Długo hr. Taaffe nie utrzymałby się. Tymczasem zaś rozbiłby się klub hr. Hohenwarta, on sam usunąłby się zupełnie z widowni politycznej, a po ustąpieniu jego pozostałaby wielka i tryumfująca lewica, której — jak to powiedział jeden z naszych znakomitych polityków — „Koło polskie poczęłoby nosić wodę."

Złe więc są wieści z Wiednia, bardzo niedobre!

Wódz staroczeski dr. Rieger przybył, jak to już nam doniesiono, do Wiednia i konferował z hr. Hohenwartem i innymi wybitnymi politykami. Z powodu tej wycieczki dra Riegera organ staroczeski *Politik*, na podstawie tego, co przed wyjazdem z Pragi mówił dr. Rieger: „Staroczesi pragną, aby wszelki projekt reformy wyborczej przedewszystkiem przedstawiony był sejmowi. Jeśli w nowym gabinecie liberalna lewica zdobędzie dominujące stanowisko i jeżeli w skutek tego koalicyjny gabinet przyjmie do swego programu zasadę utrzymania narodowego i politycznego „status posiadania", co tak należy rozumieć, iż Niemcy wyraźnie wykluczają równouprawnienie w Czechach, natenczas staroczesi zawsze wystąpią przeciw takiemu gabinetowi. Koalicya taka, jak ją rozumieją liberałowie, nie może być trwałą, a wysuwanie się centralistów naprzód, zdobywanie przez nich dawnego wpływu, nasuwa Czechom bardzo poważne refleksye. Najlepszą rękojmią dla zasad autonomicznych przy takim stanie rzeczy będzie oddanie reformy wyborczej do decydowania sejmom krajowym. Jednak rozumiem, że w danej chwili nie ma innego wyjścia, jak złożenie gabinetu koalicyjnego. Teraz nasze stanowisko zależy od programu tej koalicyi. Uważam zresztą, że ów gabinet jest tylko przejściowym, po którym przyjdzie gabinet wolny, przyjdzie prawie inny, który postawi sobie za zadanie ułożyć nową ugodę czesko-niemiecką na zasadach zupełnego równouprawnienia. Ponieważ dawną ugodę ogłosili centraliści za wygasłą, bo ona nie odpowiadała ich widokom, przeto bardzo być może, że koalicyjny gabinet zechce wystąpić z projektem nowej ugody."

Tego, jak się zdaje, mocno się obawiają Czesi. Otóż, godzi się zapytać: kto to sprawił, że w skutek tego przez wzgląd na to, iż p. Rieger? Nikt inny, tylko Czesi, ich wybory i ich posłowie. Zamiast iść wówczas z klubem Hohenwarta i naszem Kołem, oni zawsze sprawiali tym stronnictwom same jeno kłopoty, a potem całkiem się odsunęwszy, poszli na flukta młodoczeskie, panslawistyczne i franko filskie.

Z Poznania wybrano do sejmu pruskiego żyda Jaekela, sławnego polakożercę, z czego wnosić należy, że *Orędownikowe* wskazówki nie głosowało podług wskazówek komitetu wyborczego i że między konserwatystami pruskimi a Polakami nie przyjdzie do porozumienia na podstawie wzajemnych ustępstw. Strata jednego mandatu nie oznacza wiele, zawsze to jednak bardzo przykro, że sama stolica Wielkopolski wybrała ogromną większością człowieka, który nie ma za sobą nic prócz ogromnej nienawiści naszego narodu.

Dopiero dziś marsylski dziennik *Soleil du Midi* przyniósł nam szczegółowy opis strasznej katastrofy, która przed kilku tygodniami stała się w hiszpańskiem portowem mieście Santandorze. To miasto, najruchliwsze z leżących nad zatoką Biskajską, a bardzo podobne do pięknego i schludnego, już prawie nie przedstawia obrazu, jakie, jak i wszystkie okoliczne wioski w ośmiokilometrowym promieniu. Tem się wszystkim wiadomości, tylko się smutnie tłómaczy spóźnienie; najbliższa stacya telegraficzna, która ocalała, znajduje się o 11 kilometrów od Santandoru, w Bilbao.

Katastrofę wywołał kupiecki statek „Cabo Machichaco", który z ładunkiem żelaza, nafty i 500 skrzyń dynamitu, stojących na pokładzie, wpłynął do portu w południe. Bardzo liczne w okolicy Santandoru kopalnie węgla, cynku i różnych granitów już od tygodnia niecierpliwie wyczekiwały przybycia „Cabo Machichaco", bo zabrakło im nabojów dynamitowych. Więc gdy ten statek przybył, postarali się przemysłowcy u władzy portowej o zaniechanie na ten raz przewlekłych reguł, zastosowywanych zawsze do okrętów, naładowanych wybuchającemi materyałami. Zresztą, szło tu jedynie o 500 skrzyń. Więc nie zatrzymano okrętu na otwartem morzu i nie zabrano tego dynamitu po jednej skrzyni na czółno, lecz odrazu statek wpuszczono do portu. Stanął on o kilkanaście metrów od nadbrzeżnej ulicy i tuż obok parowca „Alfons XII". Pięćset skrzyń dynamitu zaraz zabrano na ląd, poczem gubernator miasta, prefekt policyi i pułkownik żandarmeryi, którzy się znajdowali przy wyładowywaniu tego towaru, odjechali do domów. Z okrętu poczęto wyładowywać beczki z naftą, a jak inni się domyślają, także z dynamitem, ale już przemycanym w ten sposób, że w każdej beczce, napełnionej naftą, była paka z dynamitem i razem tych pak było 1200. Kilkadziesiąt beczek, podanych na ląd, już zabrały wozy, kiedy w tem na pokładzie statku jedna beczka pękła, nafta się rozlała, dosięgła oddziału maszynowego i tam się zapaliła. Statek odrazu stanął w płomieniach. Ogromne tłumy zbiegły się z całego miasta i stanęły na nadbrzeżnej ulicy, przybyła straż ogniowa, nadążył garnizon, aby strzedz porządku, nie brakło nikogo z władz miejscowych. Dwaj majtkowie z parowca „Alfons XII", którzy wpadli do morza i tak się uratowali od śmierci, opowiadają, że gdy wszczął się pożar, kapitan ich zapytał przez tubę kapitana „Cabo Machichaco", czy nie ma jeszcze jakich wybuchowych materyałów, a ten odrzekł: „Skąd-żeby! Cały dynamit oddałem na brzeg." Więc linami przyciągnięto płonący okręt do samego brzegu i poczęto gasić pożar. Wtem nastąpił wybuch, a był on tak potężny, że z obu statków — z „Cabo Machichaco" i z „Alfonsa XII" — nie zostało literalnie ani śladu. Zadrżała ziemia pod całem miastem, nadbrzeżna ulica urwała się w morze, prawie wszystkie domy są zrujnowane, a fala taka powstała, że inne, zdala stojące okręty, oderwały się od swych kotwic i były wyrzucone na morze. W tej samej chwili, na przeciwnym końcu miasta, wjeżdżał na dworzec pośpieszny pociąg z Madrytu. Wstrząśnienie ziemi było tak silne, że lokomotywa i wagony wypadły z szyn. W skutek tego zginęło tu dużo ludzi, ale jednocześnie na nadbrzeżu i w walących się domach zginęło ich tyle, że dotąd nie zliczono tych ofiar. Wiadomo jednak, że śmierć znaleźli: gubernator, prefekt policyi, poseł hr. Pombo, który przybył zdać wyborcom relacyę o wojnie z Maurami, pułkownik żandarmeryi, komendant garnizonu, kapitan portu, burmistrz, wszyscy żołnierze i wszyscy policyanci, oprócz dwóch, którzy za coś siedzieli w kozie. Z tego można mieć niejakie pojęcie o stratach w cywilnej ludności. Gorejąca nafta, wyrzucona w powietrze, stamtąd ognistym deszczem spadła na miasto, więc na domiar tych okropności wszędzie naraz wszczął się pożar. Uwierzyć prawie niepodobna temu, że palące się szczątki okrętu spadły na oddalone o 7 kilometrów miasteczko Boo i tam zapaliły kilka domów.

Noc nakryła otwartą mogiłę — na drugi dzień już była tylko rozpacz osieroconych, jęki ich i grzebanie umarłych. Z sąsiednich miast przybyły pociągi z żywnością, z pionierami, którzy poczęli uprzątać gruzy, ze służbą sanitarną, która zbierała tych bardzo licznych, co z przerażenia utracili zmysły. Ale ogromna panika, wywołana tym strasznym wypadkiem, zaczaiła się w duszach ludzkich, aby za lada powodem znowu wybuchnąć. I oto, jak wiemy z telegramu, wczoraj gruchnęła między nieszczęśliwymi rozbitkami wieść, że wyładowany z okrętu dynamit znajduje się w mieście. Sam ten fakt, sama nazwa dynamitu tak przeraziła biednych ludzi, że poczęli bez pamięci uciekać, rzucili się do pociągów i tu znowu się nie obeszło bez nieszczęśliwych wypadków.

Same katastrofy spadają teraz na biedną Hiszpanię. Bo oto, nie przeminęło wstrząsające wrażenie wypadku w Santandorze, aliści z Barcelony nad Śródziemnem morzem doniósł telegram o nowym zamachu anarchistów. W teatrze Liceo nie było ani jednego niezajętego miejsca. Na pożegnanie wojsk odchodzących na boje z Maurami dawano „Wilhelma Tella". Więc co było przedniejszego w mieście — władze cywilne i wojskowe — zapełniły amfiteatr; nie przybył tylko marszałek Martinez Campos, bo zajęty był ostatniemi rozporządzeniami. Robiono patryotyczne owacye wojskowym. W tem w akcie drugim spadły z galeryi na parter dwie dynamitowe bomby Orsiniego i na miejscu zabiły ośmnaście osób, a skaleczyły bardzo wiele. Między zabitemi jest dziewięć pań i tyluż mężczyzn. Zginęła cała jedna rodzina, złożona z pięciu osób, które obok siebie siedziały. Trzech anarchistów aresztowano. I cóż z tego, że oni zapewne będą garotowani? Kto wróci żonom mężów, sierotom rodziców, społeczeństwu spokój potrzebny do pracy? Mało jest śmiercią karać schwytanych na zbrodni anarchistów, trzeba już wszystkim wziąć się za ręce i energicznie tępić to w literaturze, w prasie, w teatrach, zgoła wszędzie, co niemoralnością głoszonych zasad i rozbudzaniem żądz nikczemnych, sprzyja anarchizmowi. Bo maluczko, a już w Europie żyć nie będzie można spokojnym i pracowitym ludziom.

Kolosalny szwindel.

Z Londynu piszą: *Pall Mall Gazette*, dziennik wieczorny, założony jako organ zachowawczy, później prowadzony przez Steada w duchu radykalistycznym i skandalicznie sensacyjnym, jest znów od roku blisko konserwatywnym, a należąc do słynnego miliardera Astora, wytknął sobie cel taki, jakiegoby nie przyjęły najbogatsze nawet z tutejszych dzienników: postanowił wywlekać na widok publiczny te brudy finansowe, których odsłonić nie odważą się najśmielsi... z obawy przed niezmiernie surową tutaj i skomplikowaną procedurą sądową w procesach o oszczerstwo. Zaczął od przedsiębiorstwa, z którego prasa świata zachodniego, od Paryża i Londynu do San Francisco, ciągnęła od lat kilkunastu stałe a olbrzymie dochody — za płatne ogłoszenia; zaczął tedy przed tygodniem, a skończył dziś właśnie.

Niepodobna wysłowić, jakie wrażenie sprawił na publiczności szereg artykułów, ogłaszanych co dzień w *Pall Mall* p. t. *The Harness „electropathic" Swindle*. Strach zaś przed możliwym stąd procesem, któryby w danym razie dotknął i sprzedających śmiałą gazetę, tak był wielki, że nawet przemożna firma kolporterów W. H. Smith i sp. nie śmiała wystawiać jej na sprzedaż w kolejowych dworcach królestwa. Oto pokrótce historya szwindlu.

Lat temu około ośmnastu niejaki Cornelius Bennett Harness *) był sobie kupczykiem w małym magazynie na prowincyi. Nie miał ani grosza majątku, ani cienia ogłady, ani źdźbła wykształcenia; ledwie umiał podpisać swoje nazwisko. Człowiek ten przybył do Londynu i w bardzo krótkim czasie zjednał sobie reputacyę wynalazcy pasów i innych przyrządów, rzekomo mających bezustanny prąd elektryczności i z tego powodu... niesłychanie zbawiennych przeciwko prawie wszystkim dolegliwościom ciała, krwi i nerwów. Wcześnie więc założył kompanię, a rzucając coraz większe sumy na reklamy i ogłoszenia, broszury i specyalne o swym wynalazku dzieła, doszedł do tego, że zdołał utworzyć „kompanię z ograniczoną poręką". Innemi słowy: sprzedał swój wynalazek z całym arsenałem przeróżnych konceptów, wziął za to kilkadziesiąt tysięcy funtów szterlingów gotówką, drugie tyle w akcyach zapłaconych co do grosza i... sam został dyrektorem administrującym w nowej kompanii z tytułem „prezydenta instytutu medyczno-elektrycznego imienia Harnessa".

Przy ulicy Oksfordzkiej zbudował pałac olbrzymi, mieszczący biura, fabrykę pasów oraz biura konsultacyjne dla klientów i pacyentów. Wydawał rocznie około 150.000 fst. na samą tylko reklamę dziennikarską w Anglii, nadto zaś nie ma czasopisma angielskiego, któreby nie wkładało między swe karty specyalnych ogłoszeń Harnessa z setkami poświadczeń od... już uzdrowionych, czasem znakomitych osób.

Któryś z głośnych ekonomistów pisze, że „im jaka społeczność jest zamożniejsza, tem więcej wydaje na tak zwane patentowane leki, które w uboższych krajach nie znajdują odbytu". Dowodem są Stany Zjednoczone, Anglia i Holandya. Ale gdy wynalazcy cudownych pigułek, maści i kropel zadowalniają się zyskiem 50 lub 100procentowym, a jeszcze leki i h, nie zawierając trucizny, mieszczą jakąś przecież odrobinkę ingredyencyi możliwie zbawiennej (aloesu w pigułkach, terpentyny w maściach), Harnessowi dowiodła *Pall Mall Gazette*, że 1) zarabiał od 150 do 500 pct., 2) sprzedawał rzeczy najczęściej szkodliwe, 3) wystawiał swych klientów na coraz większe koszta, strasząc ich grozą dalszych chorób i formalnie zmuszając do olbrzymich wydatków. Tego wszystkiego dowiodła gazeta listami, otrzymanymi od setek tysięcy ofiar bezczelnego wyzysku, oraz naukową ekspertyzą.

Ludzie, kupujący pigułki, krople i maście „patentowane", albo istotnie doznają ulgi w cierpieniach — choć niepotrzebnie używają leków drogich, gdyż najprostsze środki domowe ten sam okazałyby rezultat — albo się łudzą albo też niebardzo się martwią z zawodu, nie wydawszy kwoty znacznej i milczą. Klienci Harness'a milczeli także, ale z innych powodów, bo albo się obawiali publikować swoją, jak gazeta pisze otwarcie, „głupotę", lub też, czytając zaświadczenia, podpisane przez lekarza i osobistości znane — nie śmieli narażać się na proces o potwarz, którym (jak się okazuje) groziła im arcybogata kompania z „ograniczoną poręką".

Dopiero przed rokiem znalazł się śmiałek, ale proces jego nie wydał wtedy pożądanego skutku z powodów technicznych i dla tego, że Harness zamknął usta całej prasie z wyjątkiem dwóch czasopism.

Okoliczności znane mi z osobistego śledzenia sprawy, były następujące: Młodzieniec, nazwiskiem Morton, niezamożny urzędnik bankowy, wyczytał w licznych publikacyach Harness'a, że pas elektryczny leczy rupturę niechybnie i w przeciągu sześciu tygodni; ponieważ zdawało mu się, że był zagrożony rupturą, poszedł do „instytutu". Tam musiał się poddać badaniu, a badał go „asystent lekarski", który też oświadczył Mortonowi, że na tak daleko zaszłe zło nie ma innej rady, jak nosić dzień i noc pas elektryczny specyalny, kosztujący... 10 gwinei (przeszło 120 złr!) Wzdrygnął się Morton — bo tyle pieniędzy wydać nie mógł. Chciał odejść, kiedy zatrzymał go asystent obietnicą pomówienia z samym Harness'em i otrzymania pasa za zniżoną cenę. Morton czekał, aż do gabinetu wszedł jegomość inny, prezentujący się jako „dyplomowany doktor medycyny" w służbie instytutu. Ten odbył szczegółową rewizyę pacyenta, a potem z miną groźnie poważną zawyrokował, że ruptura Mortona nie da się leczyć innym środkiem, jak owym właśnie pasem, kosztującym 10 gwinei, że o szczęśliwym rezultacie nie może być żadnej wątpliwości, że wreszcie Harness, który czyni dużo dobrego bezinteresownie, odstąpi pas za trzy gwineje!

Morton miał przy sobie dwa funty; dał je więc, na resztę należytości wystawił rewers, wziął pas i tego samego dnia nim się okulbaczył. Ale należnej reszty nie odesłał do instytutu, bo mu powiedział „dyplomowany doktor", że uleczenie nastąpi najdalej za sześć tygodni, postanowił więc przekonać się o tem. Tymczasem, nosząc pas dni kilka, doznawał dokoła bioder ciągłej świerzbiączki,

*) *Harness* po angielsku znaczy: „kulbaka", „chomąto" — *nomen omen.*

3)

Indye Wschodnie.

Szkice z podróży w roku 1891.

Przez *Romana Ujejskiego.*

(Ciąg dalszy).

Parsowie trudnią się znów wielkim przemysłem, światowym handlem i są prawą ręką Anglików w administracyi kraju; wszyscy bez wyjątku znają doskonale język angielski i niesłychane mają zdolności finansowe i polityczne.

Z innych osobliwości miasta wspomnieć muszę o ładnym muzeum i — nieładnym, źle utrzymanym ogrodzie zoologiczno-botanicznym. Ciekawe, a wstrętne zarazem są schroniska starych krów i wołów, trzymanych często w ubikacyach pierwszego piętra w najwyższem niechlujstwie tak, jakby wszystko od tych czcigodnych weteranów pochodzące, było nietykalne.

Znaną jest ogólnie świątynia w grocie „Elephanta", na wyspie tegoż nazwiska, niedaleko Bombaj położonej. Dostać się tam jednak nie mogłem, gdyż mały statek parowy, tylko w sezonie turystów tam płynie, a żaglową barką indyjską, przy panujących mussonach, puszczać się na morze nie chciałem, wycierpiawszy już dosyć na małym statku w podróży z Karaczi.

Ruch w całem mieście ogromny, handel rozległy, światowy, daje zarobek wszystkim. Ciągną długimi sznurami ładowne wełną wozy, zaprzężone wołami „zebu"; truchcikiem uwijają się jaskrawe dwukołowe wózki, także małymi wolikami ciągnione, z dzwonkami na szyjach: to „fiakry" krajowców; tramwaje z zaprzęgiem mułów, i dorożki jedno- i dwu-konne lecz bardzo nędzne.

Przed hotelem rozsiadają się często kuglarze, produkujący się nadzwyczaj zręcznemi sztukami: tańcem wężów „cobra" i walką ich z małą wiewiórką, która zawsze zwycięsko wychodzi z tych zapasów.

Co rana i wieczór, po głównych i najruchliwszych ulicach przeciąga liczny zastęp biało odzianych wdów indyjskich, zbierających skrzętnie nawozy bydlęce; z czego wyrabiają na handel, cegiełki do opału służące.

Do niedawna jeszcze panował w całych Indyach straszny zwyczaj palenia tych żywych ofiar, razem z ciałami zmarłych mężów. Rząd angielski sprzeciwił się temu z całą stanowczością. Obrzędów zaniechano, ale od tego czasu, żaden Hindus nie puści na próg swego domu, wyklętej wdowy. Tułają się biedne gdzie mogą, i jedyny zarobek znachodzą w robieniu paliwa, może właśnie przez pietyzm dla ognia, które je przedtem życia pozbawiał? W całych Indyach widywałem wdowy masami, a często dziewczątka dwunastoletnie.

Jednego wieczora, będąc na obiedzie ze znajomym m, szefem „Messageries", sekretarzem konsulatu francuskiego i jeszcze innym towarzyszem Włochem! zasępiłem się nad przyszłą dolą moją w przeprawie przez Indye. Jednogłośnie wszyscy odradzali mi podróży. Czerwiec i lipiec, to miesiące nie do zniesienia dla Europejczyków, zwłaszcza w środkowej części kraju. Kto tylko może, ucieka do Europy, lub w Himalaje. Miasta wyludniają się z białych; turysta w tym czasie, za dziwoląga uważany.

Mussony, wiejące z południa, prócz wysokiej temperatury, przynoszą zazwyczaj słoty; dla roli zbawienną wprawdzie, ale zabijającą białych wzmożeniem się zarodku febry. Czasem znów, na co się zanosiło i teraz, deszcze nie przychodzą, a od równika idące suche wiatry, tworzą niesłychane upały. Miałem więc dwie alternatywy: łaźnię parową z febrą, lub piec piekarski! Lecz cóż miałem począć? Z przedmurza tak ciekawego kraju cofnąć się nie chciałem. Nie pomogły perswazye, zbierałem się do dalszej drogi. Bogaty w przestrogi, rady, wskazówki i w pakę ogromną lodu, znalazłem się wieczór na dworcu kolei.

II.

Wyjazd z Bombaju. — Achmedabad. — Przeprawa przez Rajputanę. — Dżejpur.

Wagon bez przedziałów, jak pokój. — Z wierzchu pomalowany na biało, może dla tego, że prawie tylko biali jeżdżą klasą pierwszą; symetrycznie ustawione kanapki, na których jeszcze na dworcu usłał mi mój Hindus wygodne łoże. Pakunki wszystkie, a miałem ich sporo, także zniesiono do środka, i wydało mi się, że gdyby tak drugi pasażer przyszedł z taką samą ilością, zaciasnoby nam było.

Pociąg ruszył w noc ciemną, a ja usnąłem. Nazajutrz, późno już, obudził mię boy, anonsując na stacyi następnej śniadanie. Zaczęło się robić gorąco. Równiny spalone skwarem, i tylko palmy zieleniły się na tle żółtawem gruntu i traw zeschłych. Plantacye bawełny wszędzie na ogromnych przestrzeniach, i pola zasiane zbożem lub ryżem, co ledwie powschodziły. Zasiewy główne robią tam z początkiem czerwca, aby nadchodzące słoty przyspieszały wzrost ich. Ludzi zajętych przy krzaczkach bawełny wiele, często wioski w oddali, na wyżółkłych pastwiskach stada bydła siwego i znów białe wdowy, uwijające się z koszyczkami, jak kwieciarki w Wenecyi.

Zbliżamy się do Achmedabadu i do śniadania. Białego nie ma. Nietylko ja sam w pociągu, ale sam na dużym dworcu, sam przy śniadaniu, a może byłbym i jedyny — na miasto całe. Tutaj nie zatrzymuję się, dążąc wprost do Dżejpuru, gdzie mamy na drugi dzień przed południem stanąć. Droga forsowna przez półtorej doby, ale dopiero Dżejpur wybrałem na pierwszą mą stacyę. Zadzwoniono w kawałek szyny kolejowej na drucie wiszącej, czas było wsiadać. Biały wagon był tylko jeden, zastałem w nim siedzących po wschodniemu dwóch towarzyszów. Niezwykłe to musiały być osobistości, podróżujące pierwszą klasą. Jeden był Hindus, drugi Mahometanin o wybitnych rysach orjentalnego typu.

Za miastem rozciągały się już częściej puste, piaszczyste przestrzenie; po dwu godzinach drogi, byliśmy u brzegów puszczy Rajputany, którą mamy przecinać.

Gorąco zaczyna dokuczać; słońce pali coraz bardziej i pomimo podwójnego dachu i podwójnych ścian wagonu, czuć od góry idący żar. Wytrzymały już bardzo byłem na skwary, przebywszy lato w Australii, ale zaczyna mi być nieswojsko, czuję w głowie gorąco coraz większe, w końcu robi mi się słabo. Towarzysz mój Mahometanin widocznie „rabin" siedział jak posąg, a musiał być wielkim rabinem, odpowiadając tylko jednem słowem lub kiwnięciem głowy na zapytania Hindusa; ten zaś, siedząc ciągle jak to mówią „po turecku", kreślił jakieś hieroglify na zwojach papieru; zapewnie był „wielkim uczonym"; mimo to jednak, pomagał mi kręcić koła z grubych rogóż zrobionemi, a wypełniającemi środkową część ścian wagonu ze stron obu. Do rogóż tych za odkręceniem korka napływa woda z rezerwoaru na dachu umieszczonego; prąd powietrza jadącego pociągu, przechodząc przez te koła nasiąknione wodą, ochładza temperaturę w wagonie znacznie. Kręciliśmy więc na przemian koła nasze i trzymając głowę przy samej zwilżonej rogóży, chłodzony byłem dostatecznie i czułem chwilową przynajmniej ulgę. Południe jednak dochodziło, coraz bardziej paliło słońce, coraz gorętszy powiew wiatru smalił jak płomieniem. Hindus mój uczony, obznajomiony z urządzeniem wagonu, popodnosił u okien szyby niebieskie łagodzące przynajmniej rażące światło słońca. W pół zmroku choć oczy wypocząć mogły, ale nie pomagały już i koła nasze, czułem się znów gorzej. Na stacyi jednej przywołałem do wagonu boya i obłożyłem się lodem; jedną bryłę zawiniętą w prześcieradło użyłem za poduszkę, mniejsze kawałki trzymałem w ręczniku na czole, dolano wody do rezerwoaru, boy kręcił korbą i tak zabezpieczony jechałem dalej.

Przejeżdżaliśmy już teraz pełną puszczę. Dokoła horyzont był jakby zadymiony, wichry pędziły tumanami kurzu, a pył zalegał cały nasz wagon wewnątrz, przeciskając się najmniejszymi otworami. Wszystko było przykryte grubą warstwą miału piaskowego, który się wciskał do ust i zgrzytał po zębach.

W znacznych odległościach rzucono małe stacyjki, budowane z kamienia; kopulaste ich dachy, zawiane były piaskiem, jak u nas śnieżycą. Często rozkopywano zaspy, tamujące wejście do wnętrza stacyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

coraz dokuczliwszej; następnie wystąpiły na ciele pod pasem czerwone plamy, z tych przyszło do piekących wrzodzików i do ran....

Morton pas nosił po bohatersku, dopóki nie minęło sześć tygodni. W cierpieniach swych ulgi nie doznawał najmniejszej. Nareszcie pas zdjął i udał się o poradę do zwyczajnego lekarza. Tu się dowiedział, że ruptura istniała tylko w jego wyobraźni, że cierpiał na katar żołądkowy, z którego będzie wyleczony za kilka szylingów w przeciągu dwóch tygodni, że wreszcie pas jest pasem, niczem więcej, a jego elektryczność bezczelnym humbugiem. Przekonany i niebawem z kataru wyleczony, Morton odmówił spłacenia reszty za pas — i stąd proces.

Harness pozwał Mortona o gwineę należności, Morton nawzajem zażądał zwrotu już wypłaconych dwóch, o pokrycie kosztów leczenia się z kataru żołądkowego i odszkodowanie za sześcio-tygodniową świerzbiączkę itd. Adwokaci Mortona, powoławszy przed sąd specyalistów, dowiedli wtedy, że tak ów pas, jak wszystkie inne środki Harness'a, np. gorsety „elektryczne" dla kobiet, są najprostszem oszustwem. Według Harness'a, przyrządy jego działają cudownie z następujących przyczyn: Przedewszystkiem — „elektryczność jest życiem", a dalej nieznaczny, ciągły prąd elektryczności, przechodzący ciało ludzkie, musi być w najwyższym stopniu zbawienny. Więc Harness obmyślił swoje przeróżne „chomąta" w ten sposób. Na wewnętrznej stronie przyrządu z cienkiej skórki mieści się od pięciu do siedmiu seryj okrągłych blaszek podwójnych, jedna cynkowa, druga miedziana, połączonych seryami drucikiem galwanizowanym i przekłutych na wylot. Blaszki te, stykając się na gołem ciele z naturalną wilgocią i ciepłem skóry, wytwarzają elektryczność, którą druciki utrzymują w bezustannym obiegu do koła przyrządu, a przez owe drobne, szpilkowe przekłócia, udzielają jej ciału jednostajnie. Specyaliści tymczasem wykazali, że nasamprzód żadna się nie wytwarza w ten sposób elektryczność, a potem, choćby się wytwarzała, to ją owe druciki utrzymać muszą w obiegu dokoła pasa, z czego skóra i ciało.. a zwłaszcza wewnętrzna anatomia najmniejszego mieć nie mogą pożytku.

Wywody stron obu przedstawiam w zarysie tylko. Ale, co przy owej sposobności przed rokiem wykryto i dowiedziono Harness'owi oszustw, jak rozległej organizacyi wyzysku, jakiego bezwstydu w „leczeniu" kobiet i pewnego rodzaju pacyentów, tego nawet *Pall Mall Gazette* obecnie spisać nie była w stanie. — Proces przegrał Harness najzupełniej.

Spytacie więc: 1) czemuż przed rokiem już takie odkrycie nie położyło końca łotrowskiej kompanii; 2) dla czego rząd nie pozwał Harness'a przed sąd kryminalny?

Na pierwsze odpowiadam: bo Harness zamknął usta prasie. Tego samego dnia, w którym pozwał Mortona i od jego adwokata dowiedział się, że pozwany zleci specyalistom rozważenie sprawy, Harness przez swoich agentów pomieszczał we wszystkich dziennikach i czasopismach reklamy kolosalnych rozmiarów... *Times*, *Standard*, i wszystkie prowincyonalne pisma, mające tu swe kantory, otrzymały po całej stronicy anonsów Harness'a. Wiadomo, jak ogromne są te stronnice; z mej strony dodam, że takie jednorazowe wzięcie całej stronnicy kosztuje w *Timesie* 225 funtów czyli 2813 zł., a w *Standardzie* 180 funtów!

Nie twierdzę wcale, że się pisma angielskie dały przekupić, ale to pewna, że z wyjątkiem *Przeglądu elektrycznego* i *Science Stiftings*, żadne pismo nie umieściło ani słowa o procesie, choć zwyczaj tu taki, że o skradzionej ze straganu bułce jest nazajutrz sprawozdanie w każdym dzienniku. Powodem milczenia była zapewne obawa skompromitowania się przed publicznością za długoletnie reklamowanie tego, co końcem końców było kolosalnym szwindlem. Rząd zaś nie wytoczył był swej strony śledztwa kryminalnego, bo pod tym względem prawodawstwo jest tu skandalicznie wadliwem, niezupełnem; w procesie Mortona brakowało rządowemu oskarżycielowi technicznego haczyka, na którymby zawiesił swoje oskarżenie; proces był cywilny, w którym chodziło obustronnie o zwrot pewnych pieniędzy, o nic więcej... w którym szczegółowe informacye o przedsiębiorstwie Harnessa miały znaczenie drugorzędne.

Harness więc prowadził swój interes dalej, brał za pas, czy gorset, kosztujący go około 1 złr, po złr. 100—300, przyjmował wystraszonych pacyentów na kuracyę, kosztującą od trzech do pięciu tysięcy, wyłudzał od biedaków, zwłaszcza od kobiet, ostatnie pieniądze, nabył na prowincyi magnacki majątek... i byłby dalej prowadził swój *business*, gdyby *Pall Mal Gazette* nie wystąpiła teraz przeciw niemu, uzbrojona setkami i tysiącami zeznań, tak publiczności, jak specyalistów i samych wreszcie byłych urzędników „instytutu".

Zdumieniu i oburzeniu ogólnemu nie ma teraz granic, kiedy się dowiedziano, że „dyplomowanymi doktorami" Harnessa są: były szewczyk, były pomocnik rzeźnika i były kaznodzieja z Armii Zbawienia! że najważniejsze świadectwa skuteczności „chomątów" zostały kupione u zrujnowanych pijaków, ale rzeczywistych doktorów medycyny!... Cały tydzień ukazywały się w *Gazecie* listy od ofiar Harnessa, on tymczasem milczał; wczoraj dopiero wystosował list otwarty do redakcyi, w którym, przybierając ton dumnej pogardy dla „pisma, goniącego za sensacyą", godzi się na... obustronne wybranie specyalnej komisyi, któraby zbadała cały *business* bezstronnie i zawyrokowała nieodwołalnie. Gazeta, list zamieściwszy, odpowiedziała, piętnując Harnessa „raz na zawsze skończonym kłamcą, łotrem i najpospolitszym szwindlerem".. propozycyę komisyi odrzuciła w obec faktu, że Harness wzbrania się pozywać redakcyę przed trybunały państwowe o potwarz i oszczerstwo, wreszcie zwróciła się do rządu, nagląc o wytoczenie szwindlerowi procesu kryminalnego.

Tego samego dnia... Harness zrzekł się urzędu administratora kompanii, ta zaś wniosła do sądu handlowego podanie o zarejestrowanie „dobrowolnego" zlikwidowania interesu, zaczem pewna liczba akcyonaryuszów zażądała zwrotu włożonych kapitałów. Prócz tego zawiązał się komitet, zbierający składki w całym kraju na koszty procesu ze strony prywatnej, gdyby zaszła potrzeba, ewentualnie na najuboższe osoby, wyssane i zrujnowane przez byłý „instytut". Charakterystycznem jest jednak, co pisze z tego powodu *Westminster Gazette*: „Pragniemy wszyscy najsurowszej kary dla ludzi, jak Harness; wiemy jednak doskonale, że za dwa tygodnie po zwinięciu tej kompanii, powstanie inna i sprzedawać będzie „galwaniczne buty" lub „magnetyczne szelki", bo Anglicy przepadają za tem, by ich ktoś zawsze oszukiwał!"...

KRONIKA.

Lwów 10 listopada

Dr. Michał Bobrzyński, wiceprezydent krajowej Rady szkolnej, zawezwany telegraficznie, wyjechał do Wiednia.

Dyrektor kolei państwowej we Lwowie, pan Deyma, powrócił z Wiednia do Lwowa.

Sejmiki relacyjne. Otrzymujemy następujący telegram: W celu zdania sprawy z czynności poselskich zapraszam wyborców z Przemyśla na zgromadzenie do Przemyśla w niedzielę 19 bm.; wyborców z Gródka na zgromadzenie do Gródka w niedzielę dnia 12 listopada rb. *Dr. Witold Lewicki.*

Zjazd pomologów krajowych proponowany jest podczas przyszłorocznej wystawy krajowej.

Prezentę na opróżnione rz. katol probostwo *regiae collationis* w Podegrodziu, nadało ministeryum wyznań i oświaty księdzu Janowi Oleksikowi, dotychczasowemu rz. k. proboszczowi w Szczawnicy.

Z Kijowa donoszą, iż jenerał rosyjskiej żandarmeryi, Nowicki, zmoskwicony Polak, zawzięty nieprzyjaciel wszystkiego co polskie i ukraińskie, dostał pomięszania zmysłów.

Firma Franciszka Krzižika w Pradze wysłała już materyały służące do prowizorycznego oświetlenia wystawy w ciągu zimy.

Cholera w Galicyi już wygasa. W leczeniu pozostaje tylko 14 osób.

Petycya na ręce Kronawettera. Ktoś, kto jeździł temi dniami do swoich dóbr na Podolu galicyjskiem i wrócił stamtąd, opowiadał nam, że chłopi po wsiach podpisują petycyę na ręce Kronawettera o zaprowadzenie powszechnego głosowania.

Wydział rady powiatowej zaleszczyckiej na posiedzeniu odbytem dnia 6 b. m. uchwalił pewną kwotę na cele zakupna okazów, mających wzbogacić dział etnograficzny powszechnej wystawy krajowej a równocześnie poruczył p. Józefowi Stronerowi zebranie tych okazów.

Przemysłowcy i fabrykanci wiedeńscy zgłaszają coraz liczniej udział swój w wystawie r. 1894. W ostatnich dniach wniosły deklaracye pierwszorzędne firmy: Teofila Bieńkowskiego (fabryka zapałek), Teofila Kotykiewicza (fabryka organów i harmoniów), Józefa Dobrowolskiego (fabryka przyrządów dla straży ogniowych), Stanisława Błędkowskiego (fabryka pism tytułowych), dalej Józefa Jahudki (fotografia), Teresy Lewickiej (piernikarstwo), Wincentego Wadowskiego (krawiectwo), Kamilli Gientyłło (konfekcya damska). Dalsze zgłoszenia spodziewane.

Teatr na prowincyi. „Sokół" w Rzeszowie urządza w niedzielę przedstawienie amatorskie w odnowionej sali przy nowych dekoracyach pendzla Jana Dülla, dekoratora teatru lwowskiego.

Z Czytelni katolickiej. Niezmiernie ożywioną była wczorajsza pogadanka na temat reformy wyborczej, kwestyi stojącej dziś w Austryi na porządku dziennym. W ostatniej pogadance skreślił młody prawnik p. Topolnicki dzisiejszy ustrój wyborczy w państwie austryackiem, wczoraj wytrawny jurysta i autor wielu znakomitych w tym kierunku dzieł, radzca Bronisław Łoziński mówił o reformie tego ustroju. P. Łoziński oświadczył się za przedłożeniem rządowem i motywował to w wyczerpującym wywodzie. Zamarkował jednak sporo punktów, na które nie zgadza się i które, jego zdaniem, należałoby zmienić lub zmodyfikować. Do takich punktów należy kwalifikacya wyborcza dla tych, którzy brali udział w wojnie. Na prostym przypadku nie należy opierać tak ważnego prawa politycznego, jakiem jest prawo wyborcze. Dalej chroma bardzo komisya egzaminacyjna, złożona z wójta i nauczyciela i mająca przyznać lub też odrzucić wymagany census inteligencyi. Komisya ta musi składać się z czynników poważniejszych, dość bowiem zauważyć, że przeważna jeszcze część wójtów, u nas przynajmniej, sama nie posiada kwalifikacyi, których żąda od egzaminowanego.

Przedłożenie rządowe padło jak grom niespodzianie. W tej kwestyi, gdzie należało zebrać niesłychany materyał statystyczny, porozumieć się z reprezentantami poszczególnych prowincyi, postąpiono dorywczo i bez przygotowania, jakiego wymaga kwestya tej doniosłości. Mówca nazywa ten krok *miraculum austriacum* i na karb tego *miraculum* kładzie przytoczone braki. Wskazanym byłby bardzo system pluralny. Nie odstąpiłoby się bynajmniej od zasady i ducha reformy a weszłoby w życie kryteryum wyższości społecznej, przyznające więcej głosów jednostkom bardziej ukwalifikowanym politycznie. Przedłożenie rządowe zmienia bez wątpienia całą fizyognomię państwa, wszelako, zdaniem mówcy, nie należy lękać się urojonych okropności, któreby ono rzekomo sprowadziło. Mówca nie lęka się bynajmniej żywiołów radykalnych, które weszłyby do reprezentacyi, owszem uważa ich agresyę za wysoce pożyteczną. One stworzyłyby żywszą kontrolę w administracyi i w innych gałęziach, co wyszłoby na korzyść społeczeństwu. Dla przykładu przytacza dział podatkowy, wymagający właśnie tej kontroli. Frazesem jest zarzucany żywiołom radykalnym brak polskości. Mówca wymienił, iż sam znał najgorliwszych zwolenników socyalizmu, którzy mimo to nie stracili poczucia polskości.

Motywy, które wywołały w Niemczech zaprowadzenie powszechnego głosowania, są zupełnie odmienne, niż u nas. Po zjednoczeniu dzisiejszego cesarstwa niemieckiego zaprowadzono powszechne prawo głosowania, ażeby zabić partykularyzm drobnych państewek, z których ulepioną została całość. Co do nas powinniśmy skorzystać rozumnie z nadarzającej się sposobności i pozyskać dla sejmów to, aby pomiędzy nimi a Radą państwa zachodził ten sam stosunek, co pomiędzy parlamentem niemieckim a sejmami państw, należących do rzeszy. Rozumny polityk powinien dziś budować tamy i groble, asekurować się, przygotować koryto dla tego potoku, aby wezbrawszy płynąć mógł regularnie a nie zalewać brzegów. Cofnąć go się nie da. Od czasu wprowadzenia konstytucyi nie było w Austryi tak przełomowej kwestyi, a że ona wypłynęła, to dowodzi jej racyi bytu. Źle jest, zdaniem mówcy, że postawienie tej kwestyi na porządku dziennym spotkało się z bezwzględną negacyą, która rozdrażni, zwycięży nawet chwilowo, ale nie dopnie ostatecznego celu.

Ks. profesor Skrochowski, który zabrał głos po radzcy Łozińskim, przyznał, że kwestyi nie da się cofnąć i trzeba płynąć ku powszechnemu głosowaniu. Co [illegible] w tem, że może się da co wytargować dla sejmów. Co jednak zrobić z ciemnemi masami chłopów, których niepodobna w jednej chwili oświecić i uczynić dojrzałymi do korzystania z praw wyborczych, a którzy natomiast będą terenem dla agitacyi niekatolickiej. Na to pytanie odpowiedział radzca Łoziński, iż duchowieństwo, posiadające tak doniosły wpływ wśród ludu, zneutralizuje z łatwością prądy wrogie kościołowi katolickiemu.

Przeciwko zapatrywaniom prelegenta założył protest prof. Thullie i wyliczył po kolei szereg zarzutów. P. Łoziński, rzekł on, utrzymuje, iż nie ma racyi odmawiać polskości żywiołom skrajnym. A wszakże niedawno temu pewien wybitny socyalista lwowski oświadczył w ratuszu w obec setek ludzi, iż on i jego partya nie znają granic. P. Łoziński twierdzi, że rezultat wyborów z gmin wiejskich pozostałby ten sam, co dzisiaj. Zapewne, ale na razie tylko. Zastanówmy się natomiast, co przyniosłaby nam ta przyszłość, nad którą bez ustanku pracuje agitacya radykałów ruskich na wschodzie, zaś stronnictwa chłopskie na zachodzie kraju? Zresztą i tak weszłoby wiele żywiołu niekonserwatywnego, gdyż z natury rzeczy, chłop nic nie posiadający, dziś odtrącony od urny wyborczej, powiększy szeregi tych, którzy nie mają nic do stracenia a wszystko do pozyskania. Przy takiej ordynacyi wyborczej większość z pewnością byłaby radykalną i idąc szczebel za szczeblem po drabinie swych pragnień, zniosłaby kurye. Zresztą socyaliści wiedeńscy już dziś otwarcie wypowiadają przekonanie, że to, co dziś daje rząd, przyjmują jedynie jako zadatek. Uznaję chętnie, że reforma wyborcza jest konieczną, uznają to wszyscy bez wyjątku, zgadzam się również i na to, że nie można stanąć na zupełnie negatywnem stanowisku, jednakże stawiam jako zasadę wszelkich reform ochronę mniejszości inteligentnej od przegłosowania. W Niemczech liczba posłów socyalistycznych wzrasta przy każdych wyborach, we Francyi wzrosła ona już niesłychanie. Dojdzie do tego, że wywiąże się morderczа walka, w której po jednej stronie stanie socyalizm, po drugiej katolicyzm. Przygotowujmyż grunt pod zwycięstwo katolicyzmu.

P. Łoziński: Wybuchnie ta walka istotnie i socyalizm zwycięży niewątpliwie, ale socyalizm po chrześcijańsku pojęty. O zwycięstwo anarchii nie ma obawy. Socyalizm jest wielkie słowo, pojęcie o głębokich podstawach naukowych, i nie można go nadużywać. Trudno nie przyznać, że jeżeli nasi socyaliści odstrychnęli się dziś od dążeń narodowych, to w tem leży nasza wina. Wmawiają w nich: wy nie Polacy i to jest źle. Należy ich raczej asymilować dla narodu, jak odpychać. A jakże ma odbywać się ta asymilacya, skoro społeczeństwo odmawia im praw. Nawet cesarz dzieli się swoją władzą z narodem, nawet on przyznaje im prawo głosu, a tu raptem społeczeństwo staje okoniem i woła: nie dam! Wiecznie nic, tylko negacya, a tymczasem nie odtrącać, ale przygarnąć należy. Zresztą popatrzmy co dzieje się gdzieindziej. Papież sankcyonuje republikę francuską. Ten Carnot, który chociaż we Francyi uważany za umiarkowanego, jest radykałem tak skrajnym, że gdyby stanął na ratuszu lwowskim, okazałoby się, iż jest czerwieńszy, niż wszyscy nasi wodzowie socyalistyczni, został uznany przez kuryę rzymską, a jego władza otrzymała sankcyę papieską. Idea, która wytwarza te kwestye, idzie ciągle naprzód. Pamiętajmy, że już raz „inni szatani byli czynni" i strzeżmy się, ażeby ci szatani po raz drugi nie wznieśli dłoni. Że reforma wyborcza wyrzuci na wierzch żywioły radykalne, to nie ulega wątpliwości; że padną kurye, to także rzecz nieuchronna; obszary dworskie są dziś anomalią i sama szlachta skarży się na nie. Ale nim upadną te baryery, które dziś wezmą w karby i zregulują ruch nie dający się niczem zatamować, będziemy zamiast miliona wrogów, mieć milion przyjaciół.

Ks. prałat Gnatowski zgadza się na znaczną część tego, co powiedział prelegent. Potrzeba dążyć do jakiegoś pośrodkowego sposobu regulowania zjawisk społecznych, a to w dzisiejszym ustroju wyborczym jest niemożliwem. Ks. Gnatowski wierzy, iż w nowym składzie parlamentu znalazłaby się większość konserwatywna i że żywioł skrajny nie byłby ani licznym, ani groźnym. Można przypuścić, że skład rzeczy zmieniłby się o tyle, iż weszłoby kilku żydów, kilku socyalistów, co zaś do Rusinów, to władze administracyjne mogą z łatwością zapobiedz niepożądanemu wypłynięciu na wierzch moskalofilów. Niepotrzebnie pospieszono się z potępieniem idei reformy. Kto wie czy gdyby Koło polskie idąc ręka w rękę z klubem Hohenwartha, z mniejszem uprzedzeniem powitało akt rządowy, nie dałby się zmodyfikować przedłożenia w duchu konserwatywnym i zrobić krok do odrodzenia Austryi.

Prof. Thullie zbijał zdanie p. Łozińskiego, że zamiast miliona wrogów będziemy mieć milion przyjaciół. Psychologia tłumów dyktuje nam zupełnie co innego. Tłum jerozolimski wołał w piątek „hosanna!" a w niedzielę „ukrzyżuj go!" Są i nowsze przykłady. W rewolucyi francuskiej szlachta z entuzyazmem zrzekła się przywilejów, a nagrodzono ją gilotyną.

P. Łoziński: Jest tłum szlachetny i tłum upadły etycznie. Ten, który wołał „hosanna!", to był tłum szlachetny, ten, który wołał: „ukrzyżuj!", to był tłum nieuobywatelony i ten tłum tak samo przeciw nam się zwróci i powie „ukrzyżuj ich!" Jeżeli ktoś [illegible], nie mówmy mu zaraz: „socyalista!" Mojem zdaniem trzeba dać i skaptować. A ponieważ uczy przysłowie, że *bis dat, qui cito dat*, więc nie wolno ociągać się, gdyż mimo naszej opozycyi tłum kiedyś przyjdzie i sam sobie weźmie to, czego mu odmawiają.

Na wywody p. radzcy Łozińskiego odpowiadał jeszcze prof. Thullie i p. Topolnicki. Mimo różnicy zdań, pogadanka odbywała się w największym porządku i trzy godziny, strawione na dyskusyi, przeleciały jak jeden moment. Następna pogadanka o Matejce przez ks. Skrochowskiego, a potem o Miaskowskim przez p. Leszka Dziamę.

† Wacław Ibiański. Wczoraj o godzinie 6 po południu zmarł nagle wskutek wady serca znany we Lwowie i całym kraju inżynier przedsiębiorca człowiek wielkich zdolności i zasług na różnych polach służby narodowej. Żmudzin z urodzenia, na odgłos powstania styczniowego 1863 r., mianowany świeżo oficerem wojsk rosyjskich, ze szkoły kadetów, rzucił to wszystko i pobiegł na ratunek Ojczyzny do oddziałów, walczących na Litwie. W partyi Maćkiewicza i jako dowódzca samoistnego oddziału, wśród tysiąca przeszkód i niebezpieczeństw, trwał do końca walki i podzielił losy podobnych jak on obrońców Ojczyzny, udając się na tułactwo. Wśród trudnych okoliczności wstąpił do szkoły politechnicznej w Zurychu i po ukończeniu jej oddał się na usługi kraju, pracując przy budowach kolei żelaznych. Bystrego pojęcia, niezmiernie rzutki i przedsiębiorczy, pełen energii, znanym był i u nas we Lwowie jako przedsiębiorca zasklepienia Pełtwi, gdzie pierwszy zastosował system robót betonowych. Znanemi są w całym kraju i dotąd budowane mosty jego własnego systemu, które Wydział krajowy na drogach krajowych zaprowadził wszędzie. On pierwszy we Lwowie użył przy budowaniu domu przy ulicy Podlewskiego systemu sufitów betonowych bez drzewa, wreszcie on pierwszy rozpoczął w Dublanach budowę fabryki sadzy z gazu produkowanego z odpadków naftowych. Niestety nie było mu przeznaczonem widzieć owoców tej ostatniej pracy i to wtedy, kiedy cały zakład już na ukończeniu.

Zawsze skromny, nie narzucający się, nie reklamujący swej działalności,, szedł naprzód nie zważając na przeszkody, a jedynem gorącem pragnieniem był nie tyle zysk osobisty, ile wzbudzenie i podniecenie ruchu przemysłowego w kraju. Szkoda i ciężka szkoda takiego człowieka, że śmierć zabrała go tak nagle i przedwcześnie, nie skończył bowiem jeszcze lat 50 wieku. Wszyscy, którzy mieli szczęście bliżej znać ś. p. Wacława, jego niczem nieposzlakowaną zacność charakteru, dobroć serca, prawość, energię, zapał do każdej pracy narodowej, jego hojność, tam gdzie chodziło o pomoc braciom i sprawie publicznej, jego pełne współczucia i wyrozumiałości stosunki z majstrami i robotnikami — uczują głęboki żal z powodu jego straty. A cóż dopiero uczują i jak to przeboleją najbliższa jego rodzina i przyjaciele, dla których gościnny dom jego był długie lata tą serdeczną, pełną ciepła polskiego i szczerego patryotyzmu przystanią.

Wszystko to, i tyle pomysłów niespełnionych, które roiły się w głowie zdolnego i energicznego — zabrała śmierć niespodzianie — szkoda i jeszcze raz szkoda!

S. p. Wacław ożeniony był z p. Jadwigą Malinowską, córką znanych powszechnie państwa Erazmów Malinowskich. Niechże więc ta krótka wzmianka o ciężkiej stracie nieodżałowanego męża i zięcia, będzie dla nich niejaką ulgą w tym ciężkim smutku, że żal ich podziela liczne grono znajomych i przyjaciół, podziela szerokie koło ludzi umiejących ocenić zasługi tego rodzaju bojowników narodowych. S. p. Wacław jako Polak, jako obywatel kraju, jako mąż i przyjaciel spełnił zaszczytnie swój obowiązek — skonał na wyłomie pracy dla przyszłości narodowej — niechże mu więc ta ziemia ojczysta będzie lekką, a Bóg przyjmie zacną duszę do chwały swojej! *A. W.*

Dom Jana Matejki. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Maryan Sokołowski, podaje w *Czasie* następujący projekt w celu uczczenia pamięci nieśmiertelnego mistrza. Pisze on:

„Po ostatniej usłudze, jakąśmy oddali wielkiemu mistrzowi, którego życie i twórczość miały tak wyjątkowe dla społeczeństwa i narodu znaczenie, przychodzi myśl, w jaki sposób pamięć jego uczcić i jaki tej czci dać trwały wyraz, aby przekazać ją potomności? Nasuwa się pytanie, czy niezależnie od pomnika, nie najwłaściwszą byłoby rzeczą, aby nabyty został dla miasta czy dla kraju pozostały po nim dom przy ulicy Floryańskiej, w którym się urodził gdzie żył, tworzył i gdzie umarł — gdzie wszystko o nim świadczy? Ta wązka kamieniczka, z której wyprowadzaliśmy zwłoki zmarłego, tak pełna charakteru i tak malownicza ze swym giętym balkonem i barokowemi ozdobami, tak wymownie do wyobraźni przemawia i dzisiaj, skoro śmierć zsumowała wielkiego człowieka i postawiła go w jednolitej i tak jaśniejącej całości przed nami, na pierwszy rzut oka budzi cały szereg spostrzeżeń, myśli i uczuć, które się z nim wiążą. Mantua ma dom Juliusza Rzymianina, Urbino — dom Rafaela, Florencya — dom Michała Anioła; Norymberga wreszcie, tak z tylu względów Krakowowi pokrewna, ma dom Albrechta Dürera. W każdym z tych domów zebrane są reprodukcye i ryciny dzieł mistrzów, którzy je wznieśli, w nich przyszli na świat lub w nich mieszkali, wieńce złożone na ich grobach czy też poświęcone ich pamięci, relikwie wreszcie po nich pozostałe. Nie ma cudzoziemca, któryby tych domów nie odwiedzał; nie ma nikogo z ludzi miejscowych, któryby ich nie znał i niemi się nie szczycił. Kraków powinienby posiadać taki, taką samą opieką i większą jeszcze czcią otoczony dom Jana Matejki.

W domu tym zgromadzićby wypadało fotografie i ryciny z jego wszystkich, o ile możności obrazów i kompozycyi, dopełnić je rysunkami i kartonami mistrza w reprodukcyach, autografami w końcu. Z czasem, powoli, niejeden z właścicieli szkiców lub oryginalnych rysunków byłby własność swoją temu domowi przekazał i utworzyłoby się muzeum, dające przybliżone wyobrażenie o całej twórczości artysty. Skoro umrze poeta, dzieła jego wychodzą z druku w książce podręcznej same szukają czytelnika; każdy może je nabyć i mieć ze sobą u siebie. Utwory malarza są rozrzucone po całym świecie, jest ich przytem w naszym wypadku tak wielka ilość, że nigdy zapewne w całości wydane i reprodukowane nie będą, a gdyby nawet wydane być mogły i wydane były, — to obejmujące je wydawnictwo musiałoby być tak kosztowne i tak mało przystępne, żeby właściwego celu nie osiągnęło. Tymczasem reprodukcye te, zebrane w jednem miejscu i w takim właśnie domu, pozwoliłyby ogółowi społeczeństwa wszystkim obcym zdać sobie sprawę z geniuszu niezmordowanej pracy mistrza i człowieka. Pomieszczenie ich w tem otoczeniu razem z pamiątkami i relikwiami po wielkim zmarłym, nadałoby im szczególniejszy urok; każde wrażenie w obec wspomnień

---

1)

OŻENIONY.

Przez

CARMEN SYLVĘ

Willa Madeira, Wyspa Wight, 10 marca 18..

Niechaj mi to Bóg przebaczy! Ożeniłem się. Postąpiłem źle, ale sądziłem, że można poślubić kobietę, niezaprzedając duszy, że stanie się to tak, jak bywa, gdy nawiązujemy spokojny stosunek przyjaźni. Nie pomyślałem przez chwilę nawet o miłości, i przekonywam się ku memu wielkiemu przerażeniu, że moja żona mnie kocha. To oszaleć można! Nora mnie kocha! Gdybym był o tem wiedział, nie ożeniłbym się z nią nigdy! Jestem więc kłamcą i krzywoprzysięzcą! Nienawidzę siebie, pogardzam sobą, chciałbym się zabić! Ona mnie kocha, wielki Boże! Zakochała się w moich utworach muzycznych, nieznając mnie wcale, i teraz jej wielkie oczy, jakby dopominały się o moją miłość, o tę miłość, która nie istnieje, która nigdy istnieć nie będzie! Moja matka jest uszczęśliwiona, że zamknęła nareszcie syna w klatce. Gdyby wiedziała co uczyniła!

Wszystko we mnie zamarło, nawet muzyka!

13 marca.

Spędzam miesiąc miodowy w istnym małym raju. Nieszczęście chce, że to ani mój pierwszy miodowy miesiąc, ani mój pierwszy raj. Nora w dalszym ciągu nie odstępuje mnie; siaduje ze mną na trawnikach zasianych fiołkami, jeździ ze mną czółnem. Nigdy nie mogę być sam!

Mówi nieustannie, a pyta mnie oczyma, by się zapewnić, że słucham. Skończę samobójstwem. Każdy pocałunek pali mi usta. Póki żyję tak nie kłamałem; bo, jeżeli zdarzyło mi się niegdyś kochać, a potem zapomnieć, narazie byłem szczery i nie przypuszczałem, że moja miłość przeminie; nie kłamałem zatem Teraz kłamię nieustannie.

Podczas pierwszego wielkiego przypływu pójdę się kąpać i nie powrócę.

15 marca.

Nie chciało mnie morze. Istnieję jeszcze! W jaki sposób zostałem uratowany? Przypadek jakiś przywrócił mnie na ziemię. Nora obsypuje mnie czułościami, od chwili kiedy mnie omal nie utraciła. Tak była przestraszona, biedaczka! widząc, że mnie wściekłe bałwany unosiły. Słyszałem jej krzyk śród szumu wichru i fali; widziałem, jak wyciągała ku mnie ramiona. Okropność! Żyję jeszcze! Jej wola zmusza mnie do życia! To odkrycie doprowadzi mnie do warjactwa. Miłość nadaje jej nieograniczoną władzę nademną; czuję to i nie mogę się przeciw temu bronić. Jestem pod urokiem jej oczu. Nie pyta nigdy: „Kochasz mnie?" Inaczej odpowiedziałbym jej brutalnie: „Nie!" Dla czego ona mnie nie pyta?

Nie jest nawet zazdrosna w przekonaniu, że jest moją ostatnią miłością i chce, żeby jej to ciągle powtarzać. Niekiedy zdaje się, że, by odpokutować za swoje szczęście, usiłuje sama zadawać sobie drobne rany; wypytuje mnie o przygody z mojej przeszłości. Zrazu wahałem się, opowiadałem z ostrożną powściągliwością. Teraz staję się nielitościwym; ranię ją o ile mogę i jak mogę, możaby pomyśleć, że mszcząc się za to, iż mnie trzyma w swojej mocy. Nie buntuje się, nie dąsa, znosi moje biczowanie moralne z najzupełniejszym spokojem i uśmiechem zwycięskim, bo mnie trzyma na uwięzi. Gdyby mogła wątpić o mnie, co za ulga! Ale nie! Jestem jej rzeczą Nazywa mnie: „swoim panem", całuje mnie w rękę, nie ma na pozór woli, a po za tem wszystkiem wznosi się wola żelazna, która mnie ujarzmia do tego stopnia, że szamoczę się u jej stóp. Gdybyśmy już powrócili do domu, tam będę mógł się zamknąć w gabinecie i wydostać się z pod jej władzy. Tam będę mógł się zabić; wyciągnę się na otomanie, prześnię raz jeszcze wszystkie sny mego życia i potem kula mózg mi przewierci, pogrążę się w noc wieczystą, zanim tortury zaczną się na nowo.

18 marca.

Wspomniałem dziś o wyjeździe. Przytuliła się do mnie i rzekła: „Jak zechcesz, ale ja się boję! Stracę cię potroszę, jak będziemy śród twojej rodziny. Tutaj należysz tylko do mnie jednej! Morze nie zdołało mi cię wydrzeć; nie boję go się. Ale wpływ twego kraju rodzinnego jest silniejszy odemnie. Zostańmy jeszcze kilka dni".

Oczywiście zostaliśmy.

— Czemu już nic nie komponujesz? — zapytała. — Oto ołówek, papier, kazałam sprowadzić fortepian, żebyś mógł niezwłocznie zaśpiewać mi twoje nowe utwory.

Odczułem w tej chwili, że zabiła także we mnie natchnienie. Ona sądzi, że można komponować dowolnie! Melodya musi sama z siebie w nas śpiewać; jeżeli nie śpiewa, nie ma na to rady. Wybuchnąłem śmiechem.

— Nie potrzeba mi już muzyki.

— Ale mnie jej trzeba, inaczej nie będę wiedziała, czyś szczęśliwy.

— Dzieciaku! komponując moje melodye byłem smutny, śmiertelnie smutny.

— Miałeś bardzo smutny wyraz twarzy dzisiaj od dziesiątej do dwunastej rano; sądziłam, żeś komponował. Czym cię czem rozgniewała lub obraziła?

Boże wielki! Spoglądała na zegar, by stwierdzić, jak długo trwał mój zły humor! Wtedy, kiedy inne kobiety płakałyby lub unosiły się gniewem, ona przyniesie mi ołówek i papier i powie: „Komponuj!"

Będę się z tego śmiał do rozpuku. Niczem nie stłumiłaby, nie unicestwiła we mnie tak całkowicie zdolności twórczej. Wtargnęła przemocą do mego ostatniego schronienia. Nigdzie nie mogę już być sam, nawet z mojem piórem. Wczoraj przerzucała moje zeszyty; chciała w nich odszukać szczegółów historyi mojej duszy. Opowiedziałem jej tysiące szaleństw; nie odwracała odemnie swych wielkich oczu.

— Dlaczego mi nie mówisz prawdy? Zniosę ją doskonale. Czy obawiasz się, że nie będę już kochała twojej muzyki?

— Nie wiem już o czem myślałem, pisząc te melodye. Przyszły mi same z siebie, jak ptakom.

Patrzyła na mnie zaciekawiona.

— A wiersze, czy także przychodzą same z siebie?

— Naturalnie.

— Nie mogłam nigdy znaleźć choćby jednego rymu.

Zacznie mnie krajać żywcem! Tłómaczy zawsze tak literalnie moje słowa! Zamierza studyować i rozbierać natchnienie; to to samo co chcieć zrozumieć wiatr, który wieje, przypływ i odpływ.

— Dlaczego?... — Wszyscy ci, którzy nie są zdolni odczuwać, nieustannie będą pytali: Dlaczego?

20 marca.

Pogoda coraz piękniejsza. Dom tonie wśród róż i przepełniony jest wonią. Tej nocy wstałem po cichu, wyszedłem i rzuciłem się na trawę: przypomniała mi się jedna z moich nocy w Sorrento i łzy moje popłynęły. Jakże ona była piękna, Lavinia, moja dumna bogini, moja gwiazda!

Czy zdolny będę nasycić się opisywaniem jej, czy potrafię mówić o niej tyle, by zadowolnić serce! Jakiemi farbami mam zabarwić pendzel, by ją wywołać z jej blaskiem i ogniem? Urodzona na południu Francyi, miała krew arabską, włosy wspaniałe, krucze, wpadające w granat, usta koralowe, zęby cudowne, nos klasyczny o nozdrzach przezroczystych, wielkie, ciemne oczy, cerę złocistej brzoskwini. Czemże jest opis wobec rzeczywistości? Chciałbym zmazać wyrazy napisane, podrzeć kartkę. Zdaje mi się, że ją widzę idącą ku mnie, gibką i wykwintną, z tą jej spokojną godnością, że słyszę dźwięk jej głosu poważnego i czułego, że szepczę nieustannie, jak dawniej: „Lavinio!"

Matka oparła się mej woli, nie dopuściła żebym wziął za żonę moją piękną córę Południa. Z nią nie byłbym nigdy taki nieszczęśliwy jak dzisiaj. Zabrałbym ją i zamknął w moim zamku, nie pozwoliłbym żadnemu mężczyźnie zbliżyć się do niej; zadręczyłbym ją zazdrością i nieufnością, ale byłaby moją, byłbym ją ochronił od hańby i nędzy, byłbym ją kochał na śmierć...

(Ciąg dalszy nastąpi).

byłoby cieplejsze i żywsze. Życzyćby więc, jak sądzimy, należało, aby tak jak w Norymberdze dom Albrechta Dürera, tak w Krakowie mógł być w przyszłości taki dom Jana Matejki. Żadne inne muzeum nie może go zastąpić".

Śluby. W kościele św. Mikołaja we Lwowie odbędzie się jutro w sobotę o godzinie 12 w południe ślub panny Zofii Józefy Hoinkesówny z p. Stanisławem Henrykiem Sienkiewiczem, urzędnikiem pocztowym. — W Zagórzu pod Założcami pobłogosławiony zostanie związek małżeński panny Anny Kamińskiej, córki Alfreda i Maryi z Wolańskich, z p. Jędrzejem Sondejem, nauczycielem. — Dnia 14 b. m. odbędzie się w Dolinie ślub panny Olgi Witwickiej z p. Janem Aliśkiewiczem. — Jutro w sobotę o godzinie 11 z rana odbędzie się w kaplicy ks. Kardynała Dunajewskiego w Krakowie ślub panny Maryi Wołodkowiczówny, córki Konstantego i Heleny z Drzewieckich, z znakomitym naszym pisarzem Henrykiem Sienkiewiczem.

Karty korespondencyjne z anonsami. Pewne konsorcyum wniosło do ministeryum handlu prośbę o pozwolenie na sprzedaż kart korespondencyjnych z anonsami po 1 ct. Anonse będą umieszczone na brzegach kart. Ubytek, jaki konsorcyum mieć będzie w dochodzie przez sprzedaż kart po 1 ct., pokryje dochodami z anonsów. Nowe te karty niewątpliwie przyczynią się do wzbudzenia przez reklamę żywszego ruchu handlowego, obrót ich z powodu ich taniości znacznie się zwiększy, a wskutek tego wzrosną dochody rządu. Wiedeńska izba handlowa poparła gorąco ten projekt. W międzynarodowym ruchu pocztowym takie karty mogą być używane i w niektórych krajach oddawna są już w użyciu.

Dla wiadomości Zakładu gazowego. Odbieramy z miasta następujące zażalenie:

Od kilku miesięcy mieszkam przy ulicy Karola Ludwika 3. Aż do wczoraj w pierwszym pokoju dwoje małych dzieci i dwie osoby dorosłe spały przy otwartem oknie, a nadto jest wentylator, stale otwarty, ciągnący do komina. Przedwczoraj z powodu zimna pierwszy raz pozamykano okna, a zarazem [illegible] z bólem głowy i [illegible]. Zamknięto podwójne, wewnętrzne okna, a mimo, że wentylator był otwarty, [illegible] służąca z kuchni, zastała wszystkich, iż czuć gaz w całym domu. Czworo śpiących w tym pokoju ludzi ledwo można się było dobudzić, poczem okazały się u nich niezawodne objawy zaczadzenia gazem. W mieszkaniu, które obecnie zajmuję, było kiedyś oświetlenie gazowe, a gdy je zniesiono, widocznie niedbale zaopatrzono rury i tylko dzięki temu, iż wentylator nigdy nie zamykano, nie zginęło czworo osób śpiących w tym pokoju, z powodu karygodnego niedbalstwa zarządu zakładu gazowego. Może tych kilka słów zwróci uwagę tych panów na potrzebę pilniejszego przestrzegania porządku.

Na wystawę r. 1894, jak donosi Łowiec, organ galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, zbiera się coraz więcej okazów łowieckich, ale potrzeba jeszcze, aby każdy [illegible] Huberta myślał bezustannie o wystawie i podczas polowań kniejowych i odkładał dla niej rzeczy najciekawsze i najpiękniejsze, musimy bowiem przecież urządzić wystawę łowiecką co się zowie wspaniałą. Towarzystwo łowieckie postanowiło wystąpić w pawilonie leśno-łowieckim zbiorem z najcelniejszemi trofeami swoich członków. [illegible] pięknej broni, tabelą statystyczną polowań [illegible] w kraju, i że niejeden [illegible] istny zwierzyniec przyrody, gdzie rozmaita zwierzyna [illegible]. W [illegible] Towarzystwa łowieckiego we Lwowie [illegible] Zamiarem [illegible] polowań Zygmunta I [illegible].

Wyjaśnienie. W nr. 254 dziennika *Przegląd* z rubryce 4 jawił się artykuł pod tytułem: „Z grona [illegible]".

Odpowiedzią do tego artykułu podaję następujące wyjaśnienie. Już w nr. 41 „Szkoły" podnoszono sprawę wielkiego niedostatku przyborów naukowych w szkołach wydziałowych i zaproponowano, aby za[illegible] przy wpisie opłaty 1 zł. na te środki naukowe.

Wobec dotkliwego braku uchwaliło grono nauczycielskie szkoły wydz. żeń. w Tarnowie przedstawić Wys. Radzie szk. kraj. wniosek na zaprowadzenie takiej opłaty, mając tylko polepszenie, a tem samem dobro zakładu na oku.

Wtymże nr. 41 „Szkoły" zauważono również, że taksa egzaminacyjna dla [illegible] szkoły wydziałowej jest zbyt niską, gdyż wynosi [illegible] za 6–7 egzaminatorów, a tem samem na każdego wypada po kilkadziesiąt centów za czynność trwającą nieraz przeszło dwie godziny.

To samo zatem grono nauczycielskie uchwaliło przedstawić Wys. Radzie szk. kraj. wniosek na podwyższenie taksy egzaminacyjnej.

Muszę tedy zauważyć, że oba wnioski grona oparte były na artykule umieszczonym w tak poważnem piśmie jak „Szkoła" [illegible] przez władze wyższe, a odnośne opłaty dotknęłyby tylko najzamożniejszych rodziców; a w drugim zaś wypadku takich tylko, którzy nie posyłają dzieci swych na naukę publiczną, lecz każą je uczyć prywatnie.

[illegible] W pierwszym wypadku chodziło li tylko o umożliwienie lepszego postępu w nauce, w drugim o stosowniejsze wynagrodzenie za czynność pozaszkolną, dotąd bardzo licho honorowaną.

W Tarnowie 7 listopada 1893. *Jan Ruszczyński*, dyr. szkoły w. ż.

Początek końca. Pisze nam ktoś ze lwowskiem państwie teatralnem. W ostatnich czterech dniach dyrekcya sceny lwowskiej sprawiła publiczności co najmniej trzy wielkie niespodzianki. Pierwszą był występ w „Fauście", w którym oprócz p. Myszugi występowali sami debiutanci, a między innymi rozreklamowana wielce panna Loda Palassara, która rzekomo na scenach włoskich operowe partye śpiewała. [illegible] „Faust" wtorkowy zamienił się w wielki skandal. Debiutantka tak śpiewała, że nawet lwowska publiczność [illegible] i podziwiać, [illegible] rozległy się [illegible] przeraźliwy świst. To ktoś na kluczu poddawał śpiewaczce ton, którego ona z piersi wydobyć nie mogła. Publiczność była wielce oburzona, iż dyrekcya każe płacić jej podwyższone ceny operowe, a tymczasem naigrawa się z niej i nie daje jej przedstawień operowych, lecz jakieś niesmaczne parodye op r. Wszakżeż dyrekcya już na próbach ma sposobność przekonać się, czy jakiś śpiewak lub śpiewaczka może występować na scenie. Powinna więc złych wcale nie dopuszczać. Tak postąpiłaby każda sumienna dyrekcya, dbająca o swą opinię. Nasza jednak inaczej postępuje. Jej mało na tem zależy, czy publiczność jest zadowolnioną czy nie, czy przedstawienie dobre czy złe, jej chodzi jedynie o wysprzedanie biletów — a reszta to już fraszka.

Drugą niespodzianką w „Fauście" był walc. Został on tak źle odtańczony, że wzbudził pośród widzów powszechny śmiech, a u ludzi lubiących muzykę, wielkie oburzenie. Byłato parodya tańca. Rzeczywiście szkoda pięknej muzyki kompozytora, którą niezgrabnym tańcem tak sprofanowano. Wina tego spada również na dyrekcyę, która przecież jest obowiązaną dać jak najlepsze przedstawienie. Lecz w sprawie teatru chce ona być tak wszechwładną i nieomylną, iż każde wytknięcie jej błędu nazywa podkopywaniem bytu „narodowej sceny".

Trzecia niespodzianka czekała lwowską publiczność wczoraj. Miano dać na narodowej polskiej scenie jakąś tłustą, niemiecką operetkę. Początek był zapowiedziany na godzinę siódmą. Publiczność, która przybyła do teatru, oczekiwała do pół do ósmej, a doczekać się początku nie mogła. W sali zamiast światła elektrycznego płonął gdzieniegdzie gaz i kilka świec. Po półgodzinnem daremnem czekaniu publiczność poczęła się niecierpliwić, galerye stukały i hałasowały, aż wreszcie odchyliła się kurtyna i jakiś pan wyszedłszy przed nią, uwiadomił publiczność, że się „elektryka znarowiła" i że wskutek tego przedstawienia nie będzie. Pieniądze za bilety zwraca kasa teatralna. Publiczność więc, rozczarowana, wyszła z teatru i poczęła się cisnąć do kasy, aby odebrać pieniądze.

Tu również dyrekcya wiele zawiniła wobec publiczności. Przecież już przed przedstawieniem wiedziała, że światło elektryczne świecić nie będzie. Niepotrzebnie więc naraziła publiczność na długie czekanie, a następnie na ciśnienie się do kasy po zwrot pieniędzy.

Psuje się coś w lwowskiem państwie teatralnem i zaczyna się już początek końca.

W sferach artystycznych obiega pogłoska, że znakomity nasz artysta, dyrektor Władysław Barącz, da temi dniami, (prawdopodobnie we wtorek) drugi wieczór artystyczny w sali „Frohsinn". Miłośnicy sztuki z radością powitają tę wiadomość.

Z Nowego Sącza nam piszą dnia 5 b. m.: Z przedstawienia amatorskiego, które się odbyło u nas wczoraj, wpłynęło do Towarzystwa „Szkoły ludowej" blisko 200 złr. Towarzystwo „Szkoły ludowej" pod dzielną ręką nadinżyniera p. Zborowskiego, nie omija żadnej sposobności, aby powiększyć swe fundusze. Na zebraniach towarzyskich sam prezes, a jeśli nie on, to niemniej gorliwy członek Towarzystwa p. Chrzanowski, z kapeluszem w ręku zbiera wśród zgromadzonych, co może. Najczęściej zaś pomnaża się fundusz zapomocą koncertów i wieczorków dramatycznych, jak np. wczoraj.

Subskrybcye na wystawę. W dalszym ciągu złożyli na fundusz zakładowy dr. Jan Czajkowski złr. 250, hr. Albert Cetner 250, Zygmunt Dembowski 250, hr. Andrzej Fredro 100, Róża Frenklowa 250, Erazm Jarzmanowski 5000, Magistrat w Czortkowie 25, Rada powiatowa w Chrzanowie 100, Rada powiatowa w Dąbrowie 250, Rada powiatowa w Dolinie 250. Na fundusz gwarancyjny subskrybowali: Tadeusz Cieński 250, Antoni Jaxa Chamiec 250, Piotr Czapczyński 250, ks. Jerzy Czartoryski 250, Artur Zaremba Cielecki 300, Michał Dornwald 200, Ignacy Drexler 100, Hugo Flechner 250, Zygmunt Fryling 250, E. J. Friedrich 250, Tadeusz Fedorowicz 100, Aleksander Getritz 250. Razem wpłynęło dotychczas na fundusz zakładowy 76.085 zł., na fudusz gwarancyjny 23.785 zł.

Dramat na parostatku. Kilka dni temu z przystani kijowskiej wypłynął do Homla parostatek „Warszawa". Około godziny 11 w nocy, gdy statek mijał przystań Chlebówkę, na pokładzie rozległ się krzyk kobiety wołającej ludzi na pomoc. Załoga, spiesząc na wezwanie dowiedziała się, iż człowiek jakiś wpadł do wody. Spuszczono niezwłocznie łódkę i majtkowie udali się w to miejsce, gdzie znikł człowiek. Ale noc była ciemna i zimna. Wszelkie poszukiwania nie odniosły skutku. Nie można było odnaleźć nawet trupa topielca. Kobieta, która pierwsza wzywała pomocy była żoną utopionego. Małżonkowie Luis i Zofia Mon, Amerykanie oboje w średnim wieku, tydzień temu opuścili Odessę i jechali do Homla. Rozmawiali ze sobą językiem niezrozumiałym dla innych i tylko to można było wymiarkować, że zaszła między nimi kłótnia. Jeden z majtków widział jak Luis w nocy chodził zadumany po pokładzie, później podszedł do bufetu, wypił kieliszek wódki, stanął na ławce i rzucił się w wodę. I fala Dniepru pochłonęła Amerykanina, przybyłego ze stron dalekich, wraz z jego tajemnicą.

Rosyjski projekt. *Moskowskija Wiedomosti* w artykule p. t: „Dzwon rosyjski dla francuskiego ludu", proponuje, aby ulać olbrzymi „dzwon pokoju" i złożyć go Francyi w darze, jako pomnik głośny wielkiego „dusz przymierza" w Kronsztadzie, Moskwie, Tulonie i Paryżu. Dzwon ten „gigantyczny" zawisnąć powinien w kościele Notre Dame i z wieży ludom zwiastować święto pokoju. Cały naród rosyjski złoży sumy, potrzebne na zakupienie wspaniałego daru, a „olbrzym metalowy na olbrzymie okrętowym" pojedzie morzem do Francyi, aby ominąć kraj niemiecki, który zapominając o Schillerowskich tradycyach, więcej armat niż dzwonów wyrabia. Oprócz tego przesłać należy Francyi dwie chorągwie kościelne w zamian za sztandary, które Francuzi zdobyli pod Sebastopolem, a w r. 1891 wspaniałomyślnie zwrócili Rosyi.

Z Tarnopola nam donoszą, że w niedzielę znakomity artysta dramatyczny p. Władysław Barącz da tam w sali „Sokoła" wieczorek o godzinie 8-mej. Tarnopolanie przygotowują się już teraz na przyjęcie miłego gościa.

Zmarli Ks. Karol Koczorowski ze zgromadzenia Jezuitów umarł w Krakowie, przeżywszy 58 lat. — Małgorzata z Zajączkowskich Kasprowa, emerytka, urodzona w Olkuszu w roku 1808, umarła w Krakowie.

Stan powietrza. Term. — 2° o godz 8 rano, w połud + 2° (Bar. 770. Idzie w górę. Pogodnie.

Pan Fajnbube daje wieczór. Podczas kolacyi zachęca gości do picia wina, którego cenę wymienił. Po chwili, zwracając się do jednego z poetów, rzecze:

— No, a pan, nasz wieszczu, jak się panu podoba to wino?

— Dobre — odpowiada poeta niechętnie.

— A czy pan uwierzy, że przed sześciu miesiącami nie można go było wziąć do ust.

— O! chętnie wierzę — odrzecze poeta.

Odpowiedź Redakcyi. *Wielm. Pani Zofia Cielecka w Byczkowcach.* Mamy pod ręką niemieckie tłómaczenie, dokonane przez dra Emila Wittego i zaopatrzone przedmową jenerała von Belowa. Wyszło ono nakładem Karola Siegismunda w Berlinie i nosi datę już roku 1894, a tytuł opiewa: „Der grosse Krieg vom 189?".

Korespondencya Administracyi. *Wielm Pani Eugenia Vogl w Tarnopolu.* Proszę się upominać na poczcie. My wysłaliśmy wszystkie zaległe numera więc muszą być na poczcie w Tarnopolu.

Literatura i Sztuka.

* **Z półek księgarskich.** W dalszym ciągu młoda a zapobiegliwa firma „Jakubowski i Zadurowicz" wydała swoim nakładem następujące powieści:

Stanisława Rossowskiego „Z teki impresyonisty". O tym zbiorze nowel zamieściliśmy w swoim czasie obszerną recenzyę.

Stanisława Graybnera dwa tomy „Na warszawskim bruku" i „Mamin synek". Pan Graybner w późniejszym już wieku wziął się do pióra, a jakkolwiek jego działalność literacka datuje się od dwu lat zaledwo, zdążył on już zarówno swojemi pracami scenicznemi, jak powieściami wyrobić sobie dobrą „markę" w naszej najnowszej literaturze. Co przedewszystkiem zasługuje u niego na podniesienie, to lekkość i potoczystość stylu obok łatwości pisania i wielkiej znajomości życia, które widno znać nie z książek lub opowiadania, ale z własnego doświadczenia. Czy to opisuje wykwintny salon, czy chatę ubogiego rolnika, czy scenę z życia ludu, czy też nasze ziemiańskie stosunki, czy prowadzi nas do Włoch, Francyi, lub Bawaryi, wszędzie obraca się swobodnie.

Obie wyżej wymienione powieści czyta się z zajęciem, nie słabnącem ani na chwilę, a bohater w „Maminym synku" przedstawia typ wykończony i wystudyowany, a dotąd w powieści naszej nie przedstawiany.

Abgar Sołtan autor „Polubownej ugody", to stary znajomy naszych czytelników, drukowaliśmy bowiem kilka jego prac w naszem piśmie. A i o tej najnowszej jego powieści podamy wkrótce obszerną recenzyę, tu tylko zaznaczamy, iż jakkolwiek osnuta na ponurem tle wyjątkowych stosunków nieszczęśliwej dzielnicy z pod zaboru rosyjskiego, siłą talentu pociąga czytelnika i przykuwa jego uwagę.

Kaźmierz Rojan sympatyczny autor „Tymka" uczynił wielki krok naprzód w swojej najnowszej powieści „Maska". I tu za wzór służy dwór wiejski i wiejskie stosunki, podane ze znajomością przedmiotu, a nacechowane szlachetną myślą i dobrą tendencyą. Bohater powieści to człowiek żelaznej woli (a w takich się autor przedewszystkiem lubuje), który z niezłomną energią dąży do oznaczonego celu pracą, a wytrwałością druzgocze wszelkie przeszkody, a dochodzi dokąd pragnął. Autor ma wielki talent pisarski, styl jednak miejscami cokolwiek zaniedbany, wymaga pilnego wczytywania się w dobre wzory naszych pisarzy. (*qł.*.)

Sport.

Wyścigi konne w Pardubicach.

Dnia 31 października.

Co roku zjazd wyścigowy w Pardubicach zamyka porę wyścigową (saison) w austro-węgierskiej monarchii; wyjątkowo tylko po nim jeszcze odbywa się jakiś zaimprowizowany mały zjazd, jak zeszłego roku w Aradzie i Celowcu.

Podczas tego zjazdu w Pardubicach odbywa się także bieg myśliwski, uważany za najpierwszy w Austro-Węgrzech, jakkolwiek taki sam bieg w Preszburgu na wiosnę ma znacznie większą nagrodę, bo 24.000 franków, podczas gdy pardubicki ofiaruje zwycięzcy tylko 7000 zł. Ale w Pardubicach meta dłuższa niż w Preszburgu i tor najeżony jest daleko poważniejszemi przeszkodami; a dalej w wielkim biegu myśliwskim w Preszburgu mogą jeździć tylko panowie, więc amatorowie, podczas gdy w Pardubicach wolno jeździć dżokejom profesyonistom i oni też prawie bez wyjątku jeżdżą co roku w tym biegu. Zresztą Pardubice mają swoje tradycye, które łączą to miejsce z historyą sportu w monarchii. Tu założono pierwszą w Austro-Węgrzech psiarnię do polowań „par force" na jelenie; polowania te do dziś istnieją, a szlachta czeska i sportsmeni z innych prowincyi Austryi licznie się tam zjeżdżają.

Te zjazdy od samego założenia tego polowania przyczyniły się bardzo do podniesienia niepozornej przedtem mieściny. Pobudowano liczne stajnie oraz domki mieszkalne, bo właścicielom dają one dochód z najmu podczas polowań. Tam też a nie w stolicy Czech, odbywały się pierwsze w tej prowincyi wyścigi konne, na które rząd dawał znaczne jak na owe czasy nagrody, a ubiegać się o nie przychodziły konie pierwszorzędnej jakości nietylko z Austryi, ale i z Niemiec. Później przeniesiono wyścigi do Pragi, a w roku 1874 ustanowiono tam zjazd wyścigowy głównie dla biegów z przeszkodami, jak już wspomniano, ostatni w roku.

Zaraz w pierwszym roku (1874) wielki ów bieg myśliwski wygrał koń będący własnością Prusaka, br. Cramma, ale wychowany we Francyi, ogier gniady 6letni „Fantome", przyczem pobił trzynastu współzawodników. Od tego czasu jeszcze dwa razy (w roku 1882 i 1884) pokaźną nagrodę tego biegu wygrały konie ze stajen niemieckich.

I w tym roku przybył jeden koń z Niemiec, ale musiał zadowolnić się drugiem miejscem.

Wielki pardubicki bieg myśliwski, Handicap; nagroda 7000 zł. zwycięzcy, 1000 zł. drugiemu, a 500 zł. trzeciemu koniowi, meta 6400 metrów. Z 35 zapisanych koni biegało 8, a pomiędzy nimi takie znakomitości jak „Igen", który wygrał wielki bieg myśliwski w Preszburgu, „Lady Anne" i „Wolf", które w zeszłym roku w tym samym biegu w Pardubicach przybyły oboje daleko przed wszystkimi innymi końmi, a nie dostały nagrody, ponieważ dżokeje zmylili drogę; „Alphabet", który za nimi przybył wtenczas trzeci, a któremu przyznano nagrodę, i „Hadnagy", który w wielkim biegu myśliwskim w Wiedniu w roku zeszłym zwyciężył, a w tym roku był drugim.

Jen. H. hr. Lamberga wałach gniady pełnol. „Hadnagy" po „Harry Hall" od „Goldmamsell" (69 kg) 1, por. (pruskiego) Eynarta wałach gniady 6letni „Funny Face" (81 kg) 2, J. Schawla klacz kasztanowata pełnol. „Lady Anne" (82 5 kg) 3. Prócz tych biegały: por. C. hr. P[illegible] „Wolf", kap. George'a (pseudonim) „Violetta", F. hr. Kinskiego zeszłoroczny zwycięzca „Alphabet", por. L. br. Erlangera „Courage" oraz H. hr. Esterhazego „Igen". Ten ostatni, który pod koniec biegu wyglądał na zwycięzcę, upadł na ostatnim płocie, przewróconym w skutek zaczepienia przed nim idącego. Oprócz niego upadł także „Alphabet", a „Courage" zerwał ścięgno w nodze.

Że wynik biegu był niespodzianką, temu dał wyraz totalizator, płacąc 62 zł. za 5. Wszyscy zakładający się stawiali na „Lady Anne", pomimo że niosła kolosalną wagę 82.5 kg, która też ją zgniotła na torze błotnistym i rozmiękłym, tudzież na „Igena", który, jak wyżej powiedziano, „płynął, a przy brzegu utonął".

Inne biegi w dniu tym zupełnie się nie udały, a w ostatnim tylko jeden koń obiegł szranki. We dwóch biegach, w których jeździć mieli panowie brało udział tylko trzech jeźdźców.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 8 listopada.

(Z) Z Włoch coraz gorsze nadchodzą wiadomości. Państwo to, jak się zdaje, nie utrzyma się. Zjednoczenie było błędem strasznym, nie do darowania. Jeszcze lat kilka, może kilkanaście, zresztą niech sobie i kilkadziesiąt, a cóż znaczy lat kilkadziesiąt w życiu narodu? — a królestwo włoskie istnieć przestanie i nastanie bezwyznaniowa, masońska republika, w której radykaliści kosztem katolików urządzą sobie zmysłowy raj na ziemi. Zupełnie tak samo jak we Francyi. Może więc to i z celem obniża Paryż stale wszystkie walory włoskie. A jak obniża? Oto akcye najpoważniejszego włoskiego instytutu finansowego „Credito Mobiliare" stały jeszcze w lipcu na 500 franków, a dziś stoją na 260 fr. Liry włoskie, mające w zasadzie tę samę wartość, co franki francuskie, szwajcarskie i belgijskie, bo wszystkie te państwa tworzą razem unię łacińską, owóż liry włoskie stoją teraz tak źle, że za 100 franków dają 115 lir włoskich. Zatem ażio złota wynosi 15 prc.

Dzisiaj na wszystkich giełdach był spadek walorów włoskich, a że w Paryżu wskutek wypadków w Santanderze i w Barcelonie spadły hiszpańskie papiery, więc usposobienie mdłe zapanowało wszędzie, u nas zaś tembardziej, że giełdę poczyna irytować niepowodzenie w utworzeniu koalicyjnego gabinetu. Ostatecznie notowano:

Kredyty austr. 331·75, węgierskie 407·25, Anglobanki —·—, Uniony 247·75, Bankvereiny 120·—, Länderbanki 242·80 Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 256·50 Elbethale 236·25, Renta papierowa 96·55, srebrna 96.45, austryacka złota 118·90 4% austr. renta wal. kor. 95·95, węgierska złota 114·90 4% węgierska renta wal. kor. 93·20, duka: 6·04, 20-frankówka 10·14. marki 62·70, ruble 1·34½.

§ **Targ na nierogaciznę.** Na wtorkowy targ w Wiedniu dowieziono 1708 sztuk galicyjskiej żywej nierogacizny, płacono 34—38 zł., za towar przedni 40—41 zł. za 100 kilo żywej wagi.

Do zakładu kontumacyjnego na Prądniku w Krakowie przypędzono na targ 6 i 7 b. m. 4198 sztuk nierogacizny. Notowano: prosięta 18—24 zł., chude 28—36 zł. Wszystko za parę. Tuczne płacono 34—37 ct. za klgr. żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 10 listopada (pryw.) Na wczorajszej wspólnej konferencyi pp Hohenwart i Jaworski przedłożyli następującą listę przyszłego gabinetu, prezydyum: ks. Windischgraetz, teka spraw wewnętrznych: Bacquehem, finansów: Plener, oświaty: Bobrzyński, sprawiedliwości: Schoenborn, rolnictwa: Falkenhayn, obrony krajowej: Welsersheimb, minister dla Galicyi Jaworski. Tekę ministeryum handlu pozostawiono do obsadzenia lewicy. Plener oświadczył, iż na powyższą propozycyę się nie zgadza.

Wiener Ztg ogłasza reskrypt, znoszący z dniem 15 b. m. zakaz wywozu paszy.

Wiedeń 10 listopada. Ks. Windischgrätz konferował wczoraj z rozmaitemi osobami, które mogłyby wejść w skład nowego gabinetu i które w życiu parlamentarnem i politycznem monarchii wybitną odgrywają rolę. Wieczorem w biurze prezydyum Rady państwa odbyła się długa, prawie dwie godziny trwająca konferencya, w której udział wzięli: ks. Windischgrätz, br. Chlumetzky i prezesi klubów: Hohenwart, Jaworski i Plener. Na naradzie tej, jak donosi dzisiejszy poranny *Fremdenblatt*, nie przyszło do porozumienia. Dobrze poinformowane o toczących się rokowaniach koła parlamentarne poczynają już tracić nadzieję w szybkie rozwiązanie istniejącego przesilenia, równocześnie atoli są przekonane, że ks. Windischgrätz mimo nader długiego przewlekania się rokowań nie straci otuchy i nie przestanie dalej pracować, aby pomyślnie wywiązać się z włożonego nań przez Koronę zadania.

Wiedeń 10 listopada. *Wiener Ztg* donosi, iż gmina i obszar dworski Piwoda, wydzielone zostały z okręgu sądu powiatowego w Sieniawie, a przydzielone do sądu powiatowego Jarosławiu.

Ateny 10 listopada. Na wczorajszem posiedzeniu parlamentu dokonano wyboru prezydenta. Rządowy kandydat Krestenitis otrzymał 50 głosów, kandydat stronnictwa trykupistowskiego Bulusis otrzymał 102 głosy. Prezydent ministrów oświadczył, iż w skutek tego głosowania stanowisko gabinetu jest zachwiane. Izba prawdopodobnie nie będzie rozwiązaną.

Budapeszt 10 listopada. Dzisiejszy poranny dziennik urzędowy ogłasza rozporządzenie rządu węgierskiego, znoszące zakaz wywozu paszy.

Ateny 10 listopada. Król przyjął dymisyę gabinetu i powierzył Trikupisowi utworzenie nowego. Trikupis misyę tę przyjął i prawdopodobnie dziś jeszcze ułoży listę nowego gabinetu.

Petersburg 10 listopada. Wczoraj odbył się pogrzeb kompozytora Czajkowskiego. Był wspaniały. Przeszło 100 deputacyi wzięło w nim udział.

Rzym 10 listopada. Wczoraj w nocy aresztowano Chauveta, naczelnego redaktora pisma *Popolo Romano*, podejrzanego o współudział w oszustwach celnych na rzecz jednej z tutejszych firm handlowych. Aresztowano także dawnego jeneralnego inspektora celnego Gallinę.

Londyn 10 listopada. Podczas bankietu w Guildhalli u lorda majora Londynu oświadczył Kimberley, iż stosunki Anglii z innemi mocarstwami są jak najprzyjaźniejsze i najserdeczniejsze, a potem dodał: „Nikt nie może bez troski patrzeć na tę uzbrojoną od stóp do głowy Europę". W końcu wyraził sympatye Anglii dla Hiszpanii i zapewnił, że Anglia jest gotową wraz z innemi mocarstwami dołożyć starań do przywrócenia spokoju w Marokku. Co się zaś tyczy spraw afgańskich, to żywi minister nadzieję, że wszelkie spory między Anglią a Rosyą w sprawie Afganistanu zostaną pokojowo załatwione, jak również sprzeczne interesa Anglii i Francyi w Syamie. Szef admiralicyi lord Spencer w swej mowie oświadczył, że konieczną jest rzeczą utrzymanie przewagi Anglii na morzach i że rząd zdecydowany jest dalej pracować nad rozwojem angielskie siły morskiej.

Wiedeń 10 listopada. Ks. Windischgraetz miał dziś rano o g. 9¼ audyencyę u Cesarza. Audyencya ta trwała trzy kwadranse. Zaś o godz. 11 zeszli się znowu w prezydyum izby Windischgraetz, Chlumecki, Hohenwart, Jaworski i Plener w celu dalszego prowadzenia wczorajszej wspólnej konferencyi.

Przyjechali do Lwowa

dnia 10 listopada 1893.

HOTEL ŻORZA. A. Zagórska i hr. T. Grabowski z Warszawy. E. Torcsiewicz z Brodek. E. Kozicki z Pobereża. Hr. A. Starzeński z Dąbrówki. A. Obertyński z Nowego Sioła. J. Mikoli z Czerniowiec. St. Zwolski z Bryniec. J. Bronarski z Tłumacza. E. Riss z Promontor. E. Grossi z Lyonu. K. Waldek z Polan. K. Pallester z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI. Ks. kan Lubomęski z Bełza. W. Krainski z Wyszatyc. S. Kawecki z Tłumacza. B. Skibniewski z Balic. W. Niedźwiecki z Wańkowic. A. Annich z Wiednia.

HOTEL CENTRALNY. W. Dębski z Wołynia. H. Piotrowski z Królestwa Polskiego. Z. Lewicki z Dąbrówki. T. Korytyński z Niestaniec. S. Wielowiejski z Malawej Góry. A. Chociszewski z Chicago. Z. Wąsigiewicz z Warszawy. M. Raszowski z Poznania. A. Pisk i S. Schwestka z Pragi.

HOTEL VICTORIA. R. Pawłowski z Wiednia. W. Niewiadomski z Halicza. J. Jelinek z Wiednia. J. Timoftiewicz z Krosna.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 10 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·— do 218·—. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. a. 255·— do 258·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 360·— do 370·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 100·70 do 101·40, 5% z 10%, prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 99·80 do 100·50. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·30 do 101.—. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·— do 97.70. Tow. kredyt gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·— do 98·70. 4% los. w 41½ lat. 98.— do 98·70, 4% los. w 56 latach 98·— do 98·70. 4½% los. w 52 lat. 99·80 do 100.50.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·— do 96·70. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·25 do —·—. Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·25 do —·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·— do 96·70 4% z roku 1893 96·— do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 6·— do 6·10· Napoleondor 10·05 do 10·15. Półimperyał 10·30 do —·—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33·— do 1.35·—. 100 marek niemieckich 62·40 do 63·10.

Wiedeń dnia 10 listop. (godz. 2 po południ.) Kredyty 332·75, kred. węgierskie 408.—, Anglob. 149.—, Uniony 248.—, Bankvereiny 121.—, Länderbanki 243.60, Akcye tytoniowe 199·—, Staatsbahny 300.25, Lombardy 102.—, Elbethale 236.25, Renta papierowa 96.80, Renta węg. 4% kor. 93.30, Renta węg. złota 4% 115.20, Alpiny 48.20, Marki 62.70, Losy tur. 48.60

RUCH POCIĄGÓW.

(Zegar lwowski).

Odchodzą do	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·01	**10·41**	**5·26**	11·11	**7·36**
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	**11·11**	—
Podw. Podza.	6·54	3·32	10·40	**11·33**	—
Czerniowiec	6·36	—	10·36	3·31	**10·56**
Stryja	—	—	7·21	10·26	8·41
Bełzca	—	—	9·56	**7·21**	—

Przychodzą z	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·06	6·01	**6·36**	**9·41**	9·35
Podwołoczysk	2·48	**10·02**	**6·21**	9·46	—
Podw. Podza.	2·34	**9·46**	9·21	5·55	—
Czerniowiec	**10·10**	—	**7·11**	7·59	12·51
Stryja	—	—	**1·08**	9·06	**9·52**
Bełzca	—	—	8·16	5·26	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

15)

BLADA DYANA.

POWIEŚĆ
przez
JULIUSZA MARY.

(Ciąg dalszy).

— Ach! przypomniałem sobie, rzeczywiście. I pani odbyłaś tę podróż umyślnie?

— Nie — kłamiąc, odrzekła z westchnieniem. — Nie przyjechałam umyślnie. Miałam interesa... rodzinne...

— Tak, to co innego, w przeciwnym razie byłoby to dziwne.

I wskazując Bernarda niedbałym gestem człowieka, przekonanego, że kobieta ta da mu odpowiedź, jaką dało tylu innych, zapytał:

— Znasz go pani? — i zaczął przerzucać kartki aktów.

W Bernardzie w tej chwili całe życie zamarło; oddech ustał, krew zatrzymała się w żyłach, utkwił wzrok matkę i oczekiwał.

Matka nie miała odwagi odrzec. Chciała zawołać:

— O co go obwiniają? O zabójstwo? Czy jesteś pan przekonanym o jego niewinności? Czy też sądzisz, że jest winnym?

Ach! gdyby wiedziała, że jest niewinnym, odrzekłaby:

— Tak, znam go. Ten człowiek jest moim synem. Nazywa się Jan Bartoli, urodził się we wsi Zicavo pod Sarteną na wyspie Korsyce.

Ale Jan ją błagał.

Nie miał on postawy zbrodniarza i czoło jego nie rumieniło się. Oczy nie były zmięszane. We wzroku jego tkwiło błaganie nie o przebaczenie, lecz o pomoc.

Dzieci nie potrzebują mówić, by matki ich zrozumiały. I Cecylia pojęła.

Sędzia podniósł głowę i głosem strudzonym z tą samą obojętnością zapytał:

— Cóż, moja kobieto, poznajesz go?

Słowa te wyrwały matkę i syna z niemego milczenia i kontemplacyi. Zadrżeli oboje. Ona podstąpiła krok ku niemu, jak gdyby dla przyjrzenia mu się dokładniejszego.

I rzeczywiście czytała w głębi duszy jego. Wierzyła mu instynktownie. Wszystko przemawiało do jej instynktu, że dziecko zasługiwało na jej miłość i zaufanie. Wtedy powoli zwróciła się ku sędziemu i wstrząsnęła głową. Nie wymówiła ani słowa. Zapewne dla tego, że wydawało się jej świętokradztwem zaprzeć się swego dziecka... dziecka tak zawsze ukochanego.

Ale sędzia nie mógł zadowolnić się samem poruszeniem głowy.

— Odpowiadaj słowami! — rzekł.

— Omyliłam się... Nie znam go... — odrzekła głosem cichym, jak westchnienie.

P. Montaiglon wzruszył ramionami.

— Spodziewałem się tego — mruknął. — Możesz odejść.

I zabrał się znowu do pisania.

Niewymowna radość błysnęła w oczach Bernarda. Dziękował nią matce swojej.

Ona nagle i machinalnie wyciągnęła ręce, jak gdyby dla uściśnięcia swego syna, utraconego być może na zawsze. Ale byłoby to samo, co zdradzić się. W tejże chwili ręce opadły, na twarzy objawił się wyraz niezmiernej boleści i rozpaczy. Cofnęła się tyłem, nie spuszczając oczu z młodego człowieka, gdy on tymczasem, mając oczy napełnione łzami, zaledwie mógł ją widzieć.

Drzwi zamknęły się.

Bernard siadł na krzesło. Głowa jego chwiała się na ramionach i dotknąwszy się grzbietu krzesła, na chwilę wsparła się na nim.

Sędzia przestał pisać i zwrócił się do więźnia:

— Zamykam moje śledztwo. Odtąd nie będziesz pan opuszczał celi, chyba, że jakaś ważna wskazówka zmusiłaby mnie powołać pana do wyjaśnień. Wyjdziesz pan z więzienia dopiero w dniu stawienia się przed sądem. Czy ciągle pragniesz pan być potępionym?

— Pragnę.

— Otóż, ponieważ wręcz przeciwnie, niż z oskarżonymi innymi, uwolnienie byłoby dla pana karą, radzę ci więc zaniechać tego milczenia przed sędziami przysięgłymi... jeżeli nie chcesz, by cię uwolniono.

Bernard nic nie odrzekł.

Śledztwo ciągnęło się jednak jeszcze długo. P. Montaiglon rachował na jaki wypadek, nareszcie, zniechęcony, odesłał akta do prokuratora.

Nadszedł dzień, w którym Bernard stanął przed sądem. Ponieważ sprawa ta narobiła wiele wrzawy, kilka dzienników paryskich przysłało swych sprawozdawców. Głęboka, otaczająca Bernarda tajemnica, wywoływała najwyższą ciekawość. To też, gdy wszedł do sali, oczy wszystkich zebranych zwróciły się ku niemu.

On zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć i szedł prosto do swej ławy. A przecież, gdyby się był obejrzał, byłby w ostatnim szeregu publiczności spostrzegł ukrytą starą, bladą, z oczyma utkwionemi w niego kobietę. Była to jego matka.

Prezydent, po wysłuchaniu relacyi sprawy, wśród głębokiego milczenia zapytał:

— Oskarżony kim jesteś?

Wśród publiczności, powstrzymującej oddech oczekiwano odpowiedzi.

XI.

Kim jesteś?

Kim był? Jakie namiętności, jaka fatalność, jakie ofiary lub nieszczęścia sprowadziły go na ławę tego sądu, w którym obwiniony jest o zbrodnię?

Czas już wyjaśnić tę zagadkę i w tym celu przenosimy naszych czytelników do jednego z najbardziej malowniczych i najdzikszych zakątków Korsyki.

Cała przestrzeń od Santa Maria d'Ornano aż do Zicavo jest prześliczną. Składa się ona z pagórków, pokrytych roślinnością wspaniałą, wiecznie zielonymi o pniach potężnych dębami, których niższe gałęzie drżą bezustannie nad potokami bystrymi; olbrzymimi i wspaniałymi kasztanami, jakich nie ma w żadnym innym kraju świata; wreszcie uprawnemi polami, z których topór rębacza powalił lasy odwieczne.

Ale w miarę zbliżania się do miasta Zicavo okolica staje się dzikszą i traci na uroku. Pagórki o stokach łagodnych ustępują miejsca skałom, na których rosną sosny i buki. Jest to okolica zwana Incudiną, gdzie od wiosny aż do jesieni przebywają pasterze wśród skał dzikich, pod słońcem palącem, tuż obok gołych szczytów, z których, jak w panoramie cudownej, widać odległe fale błękitne, Sardynię i podnoszące się z morza tyreńskiego słońce.

W tych to dzikich skałach Incudiny, pod nieskończonem sklepieniem słonecznem, gdzie jak jaskółki, bujają w powietrzu jastrzębie i orły, wiodła w swej chacie samotne życie uboga, a jednak dumna Cecylia Bartoli. Tam urodził się Jan, jej syn ukochany, tam ona, mimo trudnych warunków życia, ubóstwa, północnych wiatrów jesiennych i palącego żarem słońca letniego, była szczęśliwą. Szczęśliwą w swej chacie, ułożonej z kamieni, pod dachem z desek, pokrytych kawałkami skał, dla lepszego zabezpieczenia od burz, spadających ze wszystkich stron horyzontu, szczęśliwą u ogniska, zapełniającego izbę dymem, szczęśliwa na twardem łożu z liści bukowych.

A przecież jakąż pustką świeciła ta izba! Siedzenia zrobione były z pni zaledwie ociosanych sosen, ściany były nagie, porysowane, smutne, zimno wywoływało drzenie. Na półkach spoczywały sprzęty do gotowania mleka i fabrykacyi sera, na środku zaś izby wbity pień drzewa grubego, na którym zawieszone były rozmaite przedmioty.

Tak żyła ta rodzina, jak w ogóle żyją pasterze, jak żyją mieszkający w górach ubodzy Korsykańczycy, żyła mlekiem, polewką, chlebem żytnim lub jęczmiennym, suszonym i zwilgotnianym w chwili potrzeby, kasztanami i plackami z mąki kasztanów.

Wśród tych to skał, wobec nieskończoności żyła rodzina Bartolich.

W Zicavo mieszkała rodzina Christiani.

Christiani i Bartoli byli nieco z sobą spokrewnieni.

Christiani nie byli bogatymi, ale posiadali kawałek gruntu i winnicę. To dawało im środki do życia.

Pewien wypadek zbliżył obie rodziny i związał je węzłem życia prawie wspólnego.

Bartoli i Christiani, obaj w równym wieku, pełnili służbę w pułku strzelców afrykańskich w jednym z garnizonów algierskich.

Było to podczas krwawego peryodu potyczek i walk prawie nieustannych, które od roku 1840 do 1850 kosztowały życie tylu ludzi i dały sposobność do tylu czynów bohaterskich.

Bartoli ocalił życie Christianiemu. Ale sam raniony ciężko, przeniesiony został do ambulansu. Wieczorem Christiani odszukał go w obozie. Kochali się jak dwaj bracia.

— Ocaliłeś mi życie... gdyby nie ty, nie żyłbym — odezwał się Christiani.

— To prawda... A ja umrę... Ale umrę zadowolniony, szczęśliwy nawet, jeżeli przyrzekniesz mi uczynić, o co zamierzam cię prosić.

— Mów co chcesz? Nie odmówię ci niczego.

— Jestem tylko ubogim pasterzem. Ty wiesz, że tam wśród skał rozpalonych, w ubogiej chacie mojej zostawiłem żonę i pięcioletniego syna. Dotychczas, czekając na moje uwolnienie z wojska, żyli oni jak mogli. Lecz co się stanie z nimi odtąd? Lękam się, by nie zginęli z nędzy i głodu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodak.